1. Maja. **Nr. 26.** 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca
(cztery arkusze druku.)
Cena:
kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . . . 4 „ 60 „
Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy:
„Do wydawnictwa „Nowin“ we Lwowie
w drukarni **Kornela Pillera.**
Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.
Ekspedycja i prenumerata miejscowa
w Administracji „Gazety Narodowej.“

PO MORZU ŚRÓDZIEMNEM.

Obrazy z podróży

przez J. T.

(Ciąg dalszy.)

W tej samej chwili koło karetki mignęła postać mężczyzny. Był to wysoki, silnie zbudowany młodzieniec, z głową Antinousa na piersiach atlety. Czarny płaszcz hiszpański ujmował go w koło, i zawinięty koło szyi, spadał na plecy rąbkiem. Z pod kalabryjskiego kapelusza, który mu czoło i oczy ocieniał, cisnęły się jasne i obfite pierścienie włosów. Było coś zuchwałego, nieposkromionego, wyzywającego w całej postawie przechodnia.

Sara krzyknęła spotkawszy się ze spojrzeniem nieznajomego, Manari przelękła patrzała na pomieszaną Damascenkę.

Kiedy po niejakiej chwili Sara wyszła z pod wpływu wrażenia, zaczęła się między huryskami rozmowa o spotkanym mężczyźnie. Manari myślała, że to może sułtan, albo król jaki — Sara wstrząsała głową.

— Manari — rzekła — ty wiesz, że to nie jest muzułmanin!

— Ja to wiem, co ty chcesz, moja roso chłodząca — odpowiedziała Manari.

— To nie jest muzułmanin, Manari. Powtórz, to nie jest muzułmanin — mówiła gorączkowo Damascenka.

— To nie jest muzułmanin — powtórzyła niewolniczo Manari.

— Gdyby był muśleminem — mówiła świecąc oczyma Sara — zabiłabym go!... ale że nie jest, to... — Sara nie znalazła słowa dla nowo rodzącego się uczucia i pojęcia, i szamocąc się z myślą zawołała nareszcie:

— Tobym mu na szyi zawisła na wieki!

Sara dobrze zauważała, że nieznajomy przechodzień nie był muśleminem. Nie był on nawet poddanym tureckim. Ojciec jego był Włochem, a matka Flamandką, urodził się podczas burzy morskiej na okręcie, nazywał się Razzi, imię miał Brutus.

Brutus Razzi właściwie nie miał ojczyzny; Włochami pogardzał, z Flamandów śmiał się, i nie mógł znieść ich północnych obyczajów i ich północnej wilgoci. Włóczył się po całej Europie, szukając wrażeń i przygód, gotowy wszędzie przyłożyć rękę do zaburzeń, któreby mu rokowały jaką wspaniałą przygodę. Ale jeśli się mięszał do walki, to zawsze stawał po słabszej stronie, nie pytając, czy była sprawiedliwą, lub nie.

Z całej Europy najwięcej mu się podobała Hiszpanja. Tam życie nieujęte jeszcze w jednostajne karby cywilizacji europejskiej, nastręczające co chwila pole do osobistej działalności i do popisu odwagi, przypadało najbardziej do tej wulkanicznej natury. Ale przygoda miłośna, która się zakończyła zabójstwem mnicha, stającego poprzek drogi Brutusowi, potem udział w jakiemś politycznem zaburzeniu zmusiły Brutusa do opuszczenia Hiszpanji.

Europa mu obrzydła była ostatecznie. Przeklinał ją i drwił z niej zarazem, siadając w Lizbonie na statek parowy, który miał go zawieść do Ameryki. Napisał nawet wtedy na wsiadanem sonet, w którym powiadał, iż gdyby cała Europa mogła się zmieścić w jego tłumoczku podróżnym, to i wtedy jeszcze wybrałby z niej tylko butelkę wina hiszpańskiego i różę zerwaną z gorsu Pepity, a resztę rzuciłby po za siebie.

W trzy miesiące po przyjeździe do Ameryki, Brutus zatęsknił ogromnie do Europy. Ta ciągła nowość ziemi, ludzi i obyczajów nużyła go i męczyła niesłychanie. Zachciewało mu się tych widoków, które tylko stara Europa dać mu mogła, to jest wysokich katedr, starych ruin gotyckich; jednem słowem: pamiątek przeszłości, któreby doń zrozumiałem słowem przemawiały. Życie północnej Ameryki nie mogło zbawiennie oddziałać na wyjątkową naturę Brutusa. Swoboda przysługująca pracy, ale nie fantazji i zachciankom marzyciela wydała mu się czemś potwornem i niegodziwem. Myślałem, powtarzał nieraz Yankiesom, że nie ma większych bydląt od moich ojców Flamandów, ale teraz kiedy was poznałem, odmieniam stanowczo to przekonanie.

Brutus powrócił do Europy, zajrzał nawet do Hollandji i opowiadał Flamandom, iż znalazł przecie za oceanem coś zabawniejszego i niezgrabniejszego od nich. Wędrował potem nad Renem, zajechał do Paryża, i tam mu znów Europa brzydnąć i dokuczać zaczęła. Z Paryża wyruszył na Wschód.

Brutus znał Wschód będąc jeszcze dzieckiem, kiedy razem z ojcem, który był kapitanem statku, odbywali kupieckie wędrówki morskie. Od tych czasów nie był Brutus na Wschodzie, i teraz jechał tam szukając tego, czego nie mógł znaleść po obu stronach Atlantyku.

Na pochwałę Brutusa potrzeba powiedzieć, że nie wiedział dobrze, czego chce i zaczem goni, i dlatego nie mógł się pogodzić z żadnemi istniejącemi warunkami życia.

Ale na Wschodzie zdawał się odżywać. Swoboda i pewna dzikość w stosunkach społecznych, torowanie dróg sobie własną dzielnością i siłą, większa niż na Zachodzie rozmaitość i różnobarwność życia, wszystko to go zachęcało do dłuższego pobytu w Turcji.

W chwili kiedy nasze odaliski spotkały Brutusa, powracał on z jakiejś zamiejskiej wycieczki. Brutus spostrzegł dziwne spojrzenie Sary, dosłyszał nawet jej wykrzyku.

Brutus nie był bardzo skromnym w trzymaniu o sobie... domyślił się powodów tego zachowania się haremowej kobiety.

Obejrzał się więc za mijającą karetką, stanął i nagle twarz jego rospromieniała wyrazem radości. Jakaś myśl szalona przebiegła zapewne przez czaszkę Brutusa.

Tą myślą było nic innego, jak zawiązanie niebezpiecznych, lecz przez to samo ponętnych stosunków z niewolnicą Padyszacha. Brutus widział się już w murach seralu, w jakiejś tajemniczej grocie bluszczami zarosłej, na drżącem z bojaźni i roskoszy łonie Damascenki. Brutus miał wyobraźnię podobną do usłużnego lichwiarza, pożyczającego chętnie wielkie sumy na wielkie procenta. Wyobraźnia pożyczała mu gotowe obrazy, osnute na tle rzeczywistości, obrazy bogate i pyszne!... Smutnem jednak musiało być zwykle ostateczne rospłacenie się z lichwiarzem, przy wymianie tych obrazów na rzeczywistość.

Pomiędzy Sarą, która coraz to częściej zaczęła jeździć na kąpiele do wód słodkich i Brutusem, który co raz częściej odbywał piesze wędrówki w tęż stronę; zawiązał się naprzód tajemniczy stosunek spojrzeń i uśmiechów. Ale wkrótce Brutus znalazł środek bliższego, wyraźniejszego porozumienia się z Damascenką. Nawinął mu się bowiem usłużny przemytnik, Drago, wprawny żeglarz po morzu podziemnem przemycania, oszustwa, kradzieży, gwałtu i zabójstwa, całej tej zbitej falangi występków i zbrodni, wstających z każdego gruntu, którego nie oświeca jasne słońce swobody.

Drago przedłożył Brutusowi sposób widzenia się sam na sam z Damascenką, i obiecał poczynić wszystkie potrzebne ku temu kroki.

— To co obiecuję — mówił Drago — dopełnię święcie. Mam zwyczaj to tylko obiecywać, co mogę dopełnić.

Ale Brutus chciał więcej, niż mu obiecywał Drago. Brutus chciał niebezpieczeństw, których nie znalazł dla siebie w projekcie Dragona. Oświadczył więc Dragonowi chęć swoją widzenia się z Sarą w murach haremu, pod samem okiem Padyszacha, mimo bacznej straży rzezańców.

Drago spojrzał badawczo na Brutusa, chcąc się dowiedzieć, czy ten człowiek nie cierpi pomięszania zmysłów... Ale biegły psycholog, odgadł zaraz stan duszy Brutusa i powiedział mu:

— Tamto może być potem, ale za bardzo wielkie pieniądze. Tymczasem, mylordzie (nazywał lordem Brutusa) potrzeba, ażebyś się widział z Damascenką za miastem na drodze do słodkich wód. W tej chwili przyszły mi na myśl nowe niebezpieczeństwa, które mogą i mnie i tobie, mylordzie, grozić przy tem widzeniu się, i dlatego muszę podnieść cenę tego przedsięwzięcia o dwa tysiące piastrów.

Brutus zgodził się na wszystko. W parę dni potem zaprowadził go Drago do małego, zturecka ozdobionego domku, który stał na połowie drogi ze Stambułu do wód słodkich. Tam mieszkała stara turczynka, sprzedająca chłodne napoje dla kobiet jadących do kąpieli. Turczynka dostatecznie uprzedzona o zjawieniu się gościa otwarła mu drzwi skryte do alkowy, ze wszystkich stron kobiercami usłanej. Brutus wszedł, i drzwi się znów za nim zamknęły. Drago wyszedł przed dom i usiadłszy nieopodal na kamieniu zapalił fajkę i puszczał spokojnie kłęby dymu przed siebie.

Wkrótce zajechała złocona karetka, rzezaniec otworzył drzwiczki i wypuścił niebaczny z klatki dwa rajskie ptaszki Padyszacha. Potem zamknął drzwiczki i stanął zadumany przy karetce. Drago palił fajkę i popatrywał z podełba na rzezańca.

Brutus niecierpliwił się samotny w alkowie kobiercami usłanej. Wydawało mu się, że siedzi tam już bardzo długo, że go Drago oszukał... chciał stukać do drzwi, ale drzwi były także grubym kobiercem wysłane. Z niecierpliwości zaczął chodzić dużym krokiem po alkowie małej i słabo z kąta lampą oświeconej.

Nakoniec drzwi się otwarły. Pierwsza Sara ukazała się w nich i z krzykiem rzuciła się Brutusowi na szyję. Za nią weszła Manari, i stanęła spokojnie i kornie u drzwi na nowo zamkniętych.

Sara po hebrajsku, prędko zaczęła mówić do Brutusa; potem zaczęła mówić łamanym tureckim językiem. Brutus odpowiedział jej po francuzku, że nie rozumie wcale jej mowy.

Sara z odpowiedzi Brutusa zrozumiała to tylko, iż się pojąć wzajemnie nie zdołają. Jakiś czas była jakby w osłupieniu; nie przypuszczała bowiem, ażeby ludzie, którzy się kochają i pragną siebie, mogli mówić do siebie nie zrozumiałym językiem. Ale po chwili nagle zwróciła się do mulatki i coś jej prędko po turecku powiedziała.

— *Parla italiano?* spytała pokornie Brutusa Manari.

— *Si, si, mia cara* — odrzucił jej prędko Brutus, i zawiązała się rozmowa, w której mulatka była tłumaczem pomiędzy Damascenką i Brutusem.

Przedewszystkiem Sara kazała powiedzieć Brutusowi, iż jest jego niewolnicą, jego sługą, iż pójdzie za nim dokąd on zechce, jeżeli tylko pomści śmierci jej ojca i to przez spalenie haremu sułtańskiego. Manari była przerażoną słowami Damascenki, ale oddawała wiernie jej myśl po włosku.

Brutus był zachwycony tą myślą i postacią Damascenki. Ucałował Sarę w oba policzki, w obie te róże, które już coraz bledszemi stawały się i złożył po włosku przysięgę w ręce Manari.

Tej przysięgi nikt nie rozumiał, oprócz Manari i greka Drago, który za dom zaszedłszy podsłuchiwał rozmowę przez otwór potajemny, a jemu tylko znajomy. Twarz Greka na te słowa wykrzywiła się do demonicznego cichego śmiechu, w którym tym razem dużo było wesołości.

— Manari — mówiła dalej Sara — powiedz memu djamentowi, że kiedy ogień obejmie nasz harem w nocy i my drżące powyskakujemy z pościeli naszych, niech stoi z łodzią pod ogrodem. Ja wyskoczę ku niemu i popłyniemy gdzieś daleko bez końca; ale przedtem zatrzymamy się chwilę na Bosforze i będziemy patrzali na czerwone ognie i przeklinać będziemy muzułmanów!

Manari powtórzyła Brutusowi po włosku słowa Sary, a potem zwracając błagający wzrok ku Damascence powiedziała cichym głosem, jak woda szemrząca:

— A ja sama zostanę bez ciebie, gwiazdo wieczorna?

— Ty nie bój się, Manari — odpowiedziała Sara — ja ciebie zabiorę. Ty będziesz naszym drogmanem, ty będziesz naszem dziecięciem.

— Ja będę waszą niewolnicą — dorzuciła spokojnie mulatka.

W kilka dni potem po północnej godzinie, kiedy wszystkie ulice były puste i ciche, jak długie, ciemne kurytarze zawalonych lochów, pod haremowym ogrodem sunęła szybko i cicho łódź turecka, zwana kaikiem. Dwóch wioslarzy pracowało potężnemi ramionami; u steru siedział Brutus.

Łódz stanęła pod niewysokim murem ogrodowym; Brutus zeskoczył z łodzi, wdrapał się na mur i znikł w ogrodzie. Za chwilę ukazały się czerwone płomienie, na czterech rogach haremu cztery gromnice śmiertelne — ale dla kogo?...

W kilkanaście minut cały harem był jednym płomieniem. Dym wkradający się do wnętrza pobudził śpiące odaliski, oprócz Sary która czuwała, siedząc na łożu, z zaciśniętemi na kolanie rękami, z okiem iskrzącem się z radości. Woń wkradającego się dymu była dlań najnajsłodszą wonią kadzidła.

W haremie powstał krzyk budzących się kobiet, potem hałas, wir, zamęt, jęki i skomlenie. W atmosferze dymu i gorąca, przy słabym blasku tlących lampek wiły się, biegały, szamotały pół nagie odaliski, i ze zmęczenia i odurzenia padały na ziemię. Przestraszeni rzezańcy musieli otworzyć drzwi od ogrodu i cała ta hurma kobiet już na pół szalonych z przestrachu i odurzenia rzuciła się ku wyjściu. Sara z Mulatką stały u drzwi pierwsze i pierwsze wyskoczyły na ogród ku miejscu umówionemu.

Zaczajony w ogrodzie Brutus przeniósł obie kobiety przez mur i złożył w łodzi. Drzącą od zimna, bo tylko w bieliznę odzianą mulatkę okrył swym płaszczem hiszpańskim; sam usiadł znowu u steru i otoczywszy Sarę ramieniem posadził ją koło siebie. Uwinięta w szerokim płaszczu mulatka legła im u nóg. Łódź bystro pomknęła na środek Bosforu i kiedy się już nieco oddalili od palącego się haremu, Sara nagle wyrwała się z objęć Brutusa, i wyprostowawszy się na łodzi, ostro krzyknęła do wioślarzy: — Stańcie!

Wioślarze mimowolnie usłuchali groźnego krzyku Damascenki i podnieśli w górę wiosła. Sara zwróciła się w stronę płomieni i oparłszy się ręką o ramię Brutusa zaczęła rzucać najszaleńsze przekleństwa w języku hebrajskim, mieszając do nich czasem tureckie wyrazy.

W stronie, w którą Sara zwróciła twarz swoją, rzucając przekleństwa świeciła groźnie łuna, wielka róża ognista na czarnem tle nocy rozkwitająca. Blask łuny padał na twarz Sary bladą i wszystkiemi nerwami drgającą, i oświecał jej szyję liljową i na pół przykryte piersi bystro podnoszące się i opadające ze wzruszenia. Długie, czarne włosy rozpuszczone na wiatr, wiły się jak węże po jej białej koszuli. W oku paliła się radość zemsty nieubłaganej, szalonej, od zmysłów odchodzącej!

Jak Sara była piękną wtedy, najlepiej mógł to osądzić Brutus, który siedział na przeciw niej i obejmował jej nogi w bojaźni, aby chybnięcie łodzi nie rzuciło jej w czarne tonie Bosforu. Twarz swoją zwrócił ku twarzy Sary i patrzał w nią w zachwycie jak w cudowne zjawisko. Brutus był odwrócony plecyma od pożaru; więc cały widnokrąg jego składał się z czarnych fal Bosforu, cisnących się do łodzi i z czarnej nocy, co się nad niemi unosiła; zaledwie mógł dojrzeć schylonych wioślarzy, grubym cieniem okrytych, choć o parę kroków przed nim siedzących. Na tle tej nieprzebitej ciemni świeciła mu tylko jedna gwiazda straszliwa, groźna i grozą swoją zachwycająca: blada twarz Sary, łuną oświecona i ciskająca przekleństwa przed siebie.

— Jak te śmiejące się płomienie pożerają białe ściany haremu — wołała w ekstazie Damascenka. — Niech tak obejmą wszystkie domy moślеminów! niech się zakradną do ich nocnej pościeli! niechaj zaglądną do kołysek płaczem napełnionych! niechaj opalą brody mężom i starcom! niechaj owiną ich w koło i sięgną do oczu i wypieką źrenicę, i na popiół obrócą wszystko co jest z Mahometa!... A potem niech wiatry przyjdą z czterech stron świata, i na skrzydłach swoich rozniosą popioły i rzucą je na dno morza!...

Kiedy Sara kończyła to przekleństwo, coś plusnęło nieopodal w ciemności — i wnet przed zdziwionym wzrokiem Brutusa i wioślarzy zarysowała się w grubym cieniu duża łódź wojenna, a na tej łodzi dał się słyszeć głos Draga.

Drago nadpływał z kawasami dla schwytania uciekających. Drago posiadał całą tajemnicę pożaru i ucieczki, ale pożar dokonany szaleństwem Brutusa był mu na rękę dla nocnego obłowu, towarzyszącego zwykle pożarom, nie chciał więc wcale uprzedzać o nim władzy. Dopiero kiedy ogień wybuchnął, zjawił się Drago przed władzami, i oznajmił gotowość swoją i sposób schwytania podpalaczy. Przyrzeczono mu nagrodę i dano mu natychmiast łódź ze zbrojną siłą, z którą w tej chwili właśnie nadpływał Drago ku łodzi Brutusa.

Brutus zerwał się na równe nogi, posadził Sarę na dnie chwiejącego się kaiku i wydobywszy rewolwer dał dwa strzały ku łodzi. Drago trafiony kulą, jęknął, zachwiał się i padł do morza.

Strwożony naczelnik kawasów już nie pragnął żywcem schwytać podpalaczy i kazał wioślarzom uderzyć łodzią w kaik. Przerażeni wioślarze Brutusa zaczęli robić śpiesznie wiosłami, ale pomogli tem tylko wojennej łodzi z większym zapędem uderzyć w chwiejny kaik. Kaik przewrócił się i podniósł się napowrót — próżny. Manari chwyciła się Sary, i utonęły obie na dnie morza. Łódź wojenna z trupem Draga powróciła do miasta.

Macek zamilkł, a ja prędko podniosłem głowę i spytałem:

— A Brutus?

Macek zaśmiał się swoim serdecznym śmiechem i powiedział:

— Brutus wypłynął... wioślarze wypłynęli... Cała ta historja wypłynęła — z dobrego humoru!... (C. d. n.)

DO FELIKSA LIPIŃSKIEGO

po przybyciu artysty na Ukrainę.

Patrz! Ten motłoch gwarliwy — to syny kozacze.
Serca ich jak owoce, nadpsute, dojrzały...
Nic z siebie, nic w sobie!... A chłodne rospacze
Zmroziły i cierpkości tym sercom nadały.

Widzisz więc obumarłe i nadpsute serca,
Ale krew nie okrzepła jeszcze w miękkich żyłach!
Zmrozić jej nie miał władzy północny morderca,
I tylko ducha słabego pogrzebał w mogiłach...

W duszy twej raj ich życia, a w muzyce cuda!
Serce rwie się świat wskrzeszać — przed tobą upiory...
Chwytaj więc całą duszę! i wierz, że się uda,
W muzyce, nią buchnąwszy, rozwiać grobów zmory!

O, zbrataj całe nasze ziemskie dzikie piekło
Z rajem prawd, uczuć, celów — i w jeden grom zmieszaj!
A z wiarą w namaszczenie, mistrzu! ryknij wściekło,
I we łzy rozdrobiwszy ryk ten —
Idź — i wskrzeszaj!

Kosť...

PRÓŻNY ŻAL.

Skradłem całusa dziewczęciu,
Aż się biedne zapłoniło.
Żal mnie przejął — chcę przeprosić,
Lecz dziewczęcia już nie było...

DO PIĘKNEJ W PROFILU.

Portrecik dałaś w profilu,
Bym się zakochał *en face...*
Lecz kochałem się już w tylu,
Że — nie będzie pary z nas!

* * *

Ja mojej drogiej kochance
Nachylić chciałem nieba...
Zbytecznie!... bo jej tylko —
Tyftyków było trzeba!...

Stach.

Do * * *

„Nie wierzę — on nie kocha“ twe usta szeptały,
Gdym cisnąc drobną rączkę powtarzał: „Na wieki!
„Na wieki jam twój dziewczę!“ Z pod łzawej powieki:
„Nie wierzę“ twoje oczy mówiły „Niestały!...“

Więc czekaj, aż me serce zdręczone niewiarą,
Przestanie bić dla świata — aż ciche, milczące
Z wilgotnej cieśni grobu, przyjdzie bladą marą
Do dworu, do białego, gdzie lipy szumiące...
I wtenczas ci przysięgnie, niedobra dziewczyno
Miłość — co zakwitnie mogilną kaliną.

...K. J.

Pan Marek.

Obrazek stereotypowy.

VI.

Bawmy się!...

Bawmy się!... to godło życia jednodniówek społecznych — to złota ich dewiza, ilustrowana pieniącemi się kieliszkami szampana, zielonym stolikiem i figurkami baletniczek!...

Bawmy się!... woła nasza *jeuneusse dorée* ziewając i znudzona — w dwudziestym roku życia... wszak tak krótkie to życie!... Pijmy pełną czarą ze zdroju roskoszy!... Tyle szczęścia, co się prześni nad djabełkiem i faraonem!... tyle szczęścia, ile karnawałowych szałów, słodkiej malagi i nęcącego uśmiechu baletniczki!...

Bawmy się!... woła szuler rzucając ostatni grosz na kartę... wszak bawić się wolno!... Co tam, że żona w nędzy... że dzieci wołają chleba!... bawmy się... ostatnie szczęście błyśnie nam albo w zagarniętem złocie, albo w lufie pistoletu!... *vogue la galere!...*

Bawmy się!... wycedził przez zęby z ironicznym uśmiechem blady młodzieniec, tryumfując, że zdobył kilka serc dziewczęcych i pobawiwszy się niemi, rzucił znudzony!... wszak bawić się wolno!...

Bawmy się!... powiedział sobie pan Marek! i bawił się wybornie!... Byle więcej i więcej tych dni złotych!... byle więcej słodyczy na dnie szampańskich kieliszków, — byle więcej serc uwiedzonych!... Wszak to także laury!...

›Biała róża‹ zaczynała go już nudzić. Ziewał słuchając dziecinnego jej szczebiotania, krzywił się patrząc na łzy dziewczyny, która spostrzegła w nim powiększającą się z każdym dniem obojętność...

Biedna!... Ona wymarzyła sobie raj na ziemi, otoczyła swego bohatera aureolą niebieską, pieściła się myślami, które tylko jemu były poświęcone...

Nic dziwnego — szesnastoletnie serca nie umieją kochać inaczej!...

Tymczasem Marek znalazł nowy ideał, który odpodał wszystkim jego snom i marzeniom złotym...

Ideał ten miał prześliczny głos sopranowy... Głosikiem tym zachwycał publiczność w teatrze Opery, więc nic dziwnego, że zachwycił naszego bohatera.

Markowi zdawało się, że anioł z nieba zstąpił w trykotach na deski teatralne, by mu otworzyć raj na ziemi...

* * *

Był to wieczór mroźny, jesienny. Zmrok zapadał, a ulice Paryża jaśniały od świateł latarni gazowych. W oknie pierwszego piętra obszernej kamienicy, siedział Marek obok pięknej właścicielki zachwycającego sopranu. Trzymał białe jej rączki w swoich dłoniach, i słuchał zapewne arji z *Traviaty* albo *Dinory*... Twarz jego uśmiechała się błogo, a oczy mówiły:

— *Eureka!...*

Był więc pan Marek w tej chwili najszczęśliwszym z ludzi.

Na ulicy przed oknami śpiewaczki stanęła młoda kobieta. Marek widział ją, jednak w zmroku wieczornym twarz jej wydała mu się nieznajomą. Więc odwrócił się

znowu do pięknego soprana, i czuły pocałunek złożył na białej, pulchnej rączce...

W tej chwili przeraźliwy, okropny śmiech zaleciał z ulicy...

Marek spojrzał w okno, lecz nikogo już nie obaczył na ulicy...

VII.

Zamiast epilogu.

W kilka godzin potem dziwna zaszła katastrofa w pomieszkaniu pięknej sopranistki. Jakiś obdarty ulicznik wpadł do przedpokoju, napierając się gwałtem, aby go wpuszczono do salonu... Wreszcie obaliwszy lokaja, sam sobie utorował drogę do naszej czułej pary.

Był to George.

Twarz miał bladą jak śnieg, oczy błyszczały gorączkowym ogniem.

— Znalazłem pana!... — zawołał — a szukałem cię długo, długo!... Nie trać teraz czasu... Wrócisz do pięknej twojej pani wieczorem... A teraz idź na pogrzeb!... idź!... idź co prędzej, bo się spóźnisz...

I zaniósł się przeraźliwym śmiechem...

— Cha! cha, cha! Idź!... biegaj!... o n a czeka cię tam niecierpliwie!... a jaka śliczna... cudna!... jak się uśmiecha do ciebie!...

I znowu się zaniósł śmiechem jeszcze dzikszym, obłąkanym...

Marek słuchał w osłupieniu.

— Po drodze wstąp do sklepu — mówił Gorge zawsze nieprzytomny — zanieś jej wieniec z białych róż... Ona tak lubiła róże... a niegdyś... dawniej... ja sam nazywałem ją »białą różą!...« Idź!... idź!... nie ma czasu...

I wybiegł jak szalony...

*

* *

Różnorodnemi uczuciami miotany wszedł Marek do pomieszkania »białej róży.« Otworzył drzwi, i stanął jak wryty na progu.

Na łóżku, w białej sukience weselnej leżała Róża, bledsza od lilji. Na ustach jej skonał jakiś niebiański łagodny uśmiech, którym dziewczę w ostatniej chwili życia snać żegnało się z marzeniami. Drobne rączęta złożyła na piersi.

W skurczonych dłoniach było kilka uwiędłych róż białych, czarny krzyżyk; opodal flaszeczka z trucizną — próżna!...

Przy łóżku klęczał George. Odmawiał głośno słowa pacierza i wił wianek z kwiatów. W oczach jego malowało się obłąkanie, na twarzy rozlany był dziwny wyraz spokoju i łagodnej słodyczy.

Ujrzawszy Marka zerwał się, odrzucił wianek i krzyknął przeraźliwie:

— Precz!... precz ztąd!... przyszedłeś modlić się za jej duszę?... jej nie potrzeba modlitwy, twojej modlitwy!...

Po chwili dodał łagodniej, wpatrując się w bladą twarz trupa:

— Duszę jej białą, jasną, wzięli aniołowie do nieba... Widziałem ich... byli tam... i ją widziałem... uśmiechała się tak cudnie!...

— Może do ciebie!... — krzyknął przeraźliwie, obłąkany wzrok rzuciwszy na Marka. — Cha! cha! cha! do ciebie... Wszak cię kochała!...

I rzuciwszy się na niemego z przerażenia, zawołał:

— Precz!... precz gadzino!... idź do teatru Opery, na balet!...

*

* *

W kilka dni potem odebrał Marek list z Galicji. List był nieznaną mu ręką zaadresowany. Rozerwawszy pieczątkę wyjął z kuwerty pogrzebową kartkę i przeczytał:

»Dnia... w miesiącu październiku roku 186... rozstała się z tym światem Anna Jarczyńska, w sześćdziesiątym roku życia. Pogrzeb odbędzie się w Brzozowie dnia...«

Wkrótce potem wyjechał pan Marek do Galicji.

Dziś mieszka we Lwowie, należy do *Jokey-Klubu,* do komitetów balowych i towarzystw dobroczynnności, bywa regularnie na przedstawieniach *Pensjonarek* i *Pięknej Galatei.* Zjazd we Lwowie nastręcza mu sposobność upolowania znakomitego posagu!...

Koniec.

Z Szewczenka.

Mijają dnie, mijają noce,
Przemija lato... Już szeleszczą
Pożółkłe liście... Gasną oczy,
Usnęły dumy, serce śpi,
I wszystko we śnie... Ja sam nie wiem:
Czy żyję jeszcze, czy konam już,
Czy tylko włóczę się po świecie?
Bo ni już łez, ni śmiechu we mnie!
Dolo! gdzie ty? Gdzie ty? dolo!
Żadnej nie ma!... żadnej!
Skoro dobrej żal Ci, Boże,
To daj złą, złą dolę!
Nie usypiaj chodzącego,
Nie zabijaj serca!...
Nieużytem brewnem nie każ
Walać się po świecie!...
Żyć mi pozwól! a żyć sercem,
Ciebie chwalić, Boże!
I ten świat, przez Cię stworzony...
Pozwól kochać ludzi!

Ciężko dźwigać zimne pęta,
Umierać w niewoli!...
Ale ciężej śnić bez końca,
Zasypiać w swobodzie!
I zasnąć tak po wiek wieków...
Nie zostawić śladu
Żadnego... jak gdyby jedno:
Żył, czyś nie żył wcale!...
Dolo! gdzie ty? Gdzie ty? dolo!
Żadnej nie ma, żadnej!...
Jeśli dobrej żal Ci, Boże,
To daj złą, złą dolę!...

Na Litwie.

Było to w owym czasie, kiedy powstanie wzmogło się do zatrważających Moskwę rozmiarów. Jeśli powstańcy nie byli panami kraju, nie byli nimi i moskale! Wrogowie wzajemnie trzymali siebie w szachu; tylko że na moskwicinie drżała skóra jak na złodzieju, gdy go w cudzej chacie zaskoczą... a nam rosło serce nadzieją, że raz przecie po tylu latach wykrzykniemy na swobodzie: niech żyje Polska!

Jak Litwa szeroka, czułeś przyśpieszone uderzenia serc prawych obywateli kraju; ręka rwała się do szabli; pierś przepełniona ledwie mogła powstrzymać okrzyk: »Śmierć wrogom!« Czekano sposobnej chwili, a gdy się nadarzyła — korzystano, by zrzucić pęta niewoli, otrząść się z przemocy.

Ale dobre często ze złem idzie w parze!... pszenica nie jest wolną od kąkolu... Było go i na Litwie — Bóg łaskaw, że nie wiele!

Pan .....ejko, pan z panów, a wierny, o przewierny! sługa miłościwego cara inaczej myślał, aniżeli naród cały, czego innego pragnął, aniżeli o czem marzono w Litwie...

Bo i jakże on mógł być polakiem, gdy miłościwy zrobił go swym lokajem?... Pan .....ejko miał zaszczyt podawać półmiski carowi — był kamerherem dworu!

Są nikczemne dusze, które nie wiesz zkąd się biorą w narodzie? W około świętość, a ci nurzają się w podłości, lubują sobie w plugastwie, i z dumą mówią o swej nikczemności!...

Nieodrodną taką duszyczką był pan kamerher, któremu żal się Boże! było ojczystego nieba w jakie patrzał, powietrza, którem oddychał, żony i córki — aniołów, z których jednę zabił swoją nikczemnotą, drugą rozłączył z wybranym serca, by czartu oddać na męczarnie.

Pan .....ejko przyrzekł rękę jedynaczki, pięknej Marji, moskiewskiemu pułkownikowi Skatininowi, będącemu w w wielkich łaskach u *naczalstwa,* któremu uśmiechały się w perspektywie: *cziny, kresty* i *dieńgi...* a *dieńgi* lubił Skatinin, jako prawdziwy moskal... bo szlachetny ten naród nie pojmuje istnienia bez *dienieg!* Chociażby zamordować, byle pieniędzy nie zbywało! — to hasło wszystkich moskalów.

Jakże biedną była Marja!...

Rozłączona z najdroższym jej serca, o którym ojciec, jako o buntowniku, wspomnieć sobie nie pozwalał — namiasto współczucia i litości, znajdowała u ojca zimne szyderstwo i słowa pełne cynizmu, właściwe jego spodlonej duszy, ale okropne dla biednej Marji, która w modlitwie tylko znajdowała ucieczkę przed dolegliwościami życia.

Tak młoda, a już sierota; stokroć nieszczęśliwsza, gdy takiego ma ojca!... Z kochankiem rozłączona... O biedne, biedne bywają te nasze dziewczęta!...

Marja kochała Juljana, sierotę, któren jej matce winien wszystko. Chociaż szyderstwy okrywana przez męża za opiekowanie się szczenięciem (tak nazywał sierotę) nie opuszczała go zacna niewiasta. Jej to pomocy i własnym usiłowaniom winien był Juljan, że szkoły ukończył, przeszedł studja uniwersyteckie, i jak utrzymywał pan .....ejko — »stał się podobnym do ludzi!«

Ale tego powiedzenia za mało! Juljan z sercem nawskróś poczciwym łączył jeszcze rozum, wzbogacony pracą na polu naukowem; był szlachetnym i prawym, wiedział co jest winien ludziom, i kochał, szczerze kochał biedną ojczyznę, jęczącą w więzach kata. Miłował ją — bardziej, aniżeli Marję anioła, w której widział raj swój, niebo!...

Marja odpłacała mu wzajemnością. Od dzieciństwa dusza jej zrozumiała i wzajemności ogniwem sprzęgła się z duszą i sercem młodziana; a gdy ją matka odumarła — wtedy dziewczę w zupełności oddało się Juljanowi, uczuć swych nie dzieląc, bo z przerażeniem widziała, iż ojciec ukochać się nie da... nie zdoła w córce wzbudzić dla siebie poszanowania...

Kochali się młodzi tą świętą miłością, która ludzi w aniołów przemienia, a pustynię życia czyni rajem roskoszy!... Lecz gwiazda życia trudno, by komu stale przyświecała... Nie rzadko gęste zciemnią ją chmury!...

Ozwała się trąbka w litewskich borach; zadźwięczała kosa, i echo po rosie, odgłosem wystrzału, płynie do namiestnika cara...

Wesoło w sercach litewskich! Dziękczynnemi modły brzmią świątynie Pańskie... a w pałacach, które bagnet strzeże trwoga!... wrota podziemiów chrzypły na wrzeciądzach...

Wielka zbliża się godzina! Śmierć nowa, czy zmartwychwstanie?

Nie kazał na siebie oczekiwać borów mieszkaniec. Wydobył ukrytą gwintówkę, kordelas przypasał, i ruszył na polowanie... Niedźwiedzi — moskali dość da Litwie; a gdy ostatni padnie od wystrzału — wtedy dopiero ojciec powita swe dziatki, brat siostrę, kochanek kochankę!... Inaczej — zginą.

Te słowa i Juljan Marji powtórzył...

Ona wie, że gdyby mówił inaczej — nie byłby jej godny...

— Idź! — szepnęła cicho, chowając twarz zalaną łzami na piersi lubego...

— Powitasz we mnie zwycięzcę, lub pomodlisz się na grobie — zawołał młody bohater. — Bądź zdrowa... Marjo! Zobaczymy się tu, albo w niebie... Bądź zdrowa!

Tyrani! obaczcie taką rozłąkę kochanków — może serce w was przemówi!...

*

* *

Mijały dnie, tygodnie, miesiące.

Juljan walczył z wrogiem; krew zlewała ziemię męczeńską, by ją użyźnić pod zasiew wolności.

Moskale klęli *miatiżników;* pan kamerher przeklinał hołotę — płakała Marja, drżąc o los miłego. Wieść każda o potyczce z moskalami przejmowała jej serce dumą szlachetną, ale niepewność dręczyła Marję: »Czy żyje?... może raniony?...«

I modliło się dziewczę gorąco do Boga, błagając o zwycięztwo; a jeśli tak już zapisano w księdze przezna-

czeń — »Królowo nieba i ziemi! daj wolność ojczyźnie; jego zabierz ze świata — ale wraz ze mną!... Niechaj nie przeżyję śmierci Juljana — umrę wraz z miłym!...«

Tak modliła się córka; a ojciec w tym samym czasie układał się z pułkownikiem o wielkość posagu, jaki miał dać za Marją. Kamerher dawał dużo — moskal żądał jeszcze więcej... Potrzeba nie mało pieniędzy, by niemi kupić sobie zaszczyt pokrewieństwa z carskim zbirem!...

Wreszcie stanęła ugoda, i Skatinin rozpoczął staranie się o względy *charoszeńkoj polki* jak nazywał Marję.

Do obawy o życie Juljana i zmartwienia z powodu ojca, przydał zawistny los biednej dziewczynie, zalecanki moskala... Ileż cierpiało serce biednej Marji!

Pewnego poranku, gdy kamerher zalecał córce, by nie zaprzątała sobie głowy takiemi głupstwami jak miłość ojczyzny, a raczej pomyślała o przygotowaniach do ślubu z pułkownikiem — przyjechał Skatinin.

Tatarskie jego oblicze promieniało szczęściem łaski carskiej; rzucił się w otwarte ramiona kamerhera, i plugawy uścisk połączył dwa te niecne ciała — gdyż o ich duszach mówić trudno...

— *Pazdrawtie* mnie, Iwanie Pawłowiczu, z łaską gosudarską — zaczął Skatinin uroczyście. — Zostałem pełnym pułkownikiem, i oddano mi dowództwo nad oddziałami w waszym powiecie!...

Kamerher nie wiedział na razie jak wyrazić swoją cześć dla pełnego pułkownika i komendanta wojsk w powiecie... Wstał z krzesła, dotknął się ręki Skatinina, i westchnął.

— *Madmoiselle Marie* — mówił dalej moskal — może się teraz nie lękać buntowników.

— Braci nie zwykłam się obawiać — odpowiedziała mu Marja z godnością.

Moskal spojrzał bacznie; kamerher zakrztusił się. Chciał strofować córkę; ale go powstrzymał Skatinin.

— *Prajdiot!* — rzekł pobłażliwie. — To polska gorączka — my ją ostudzimy... — I zaczął dłuższą rozmowę o powstaniu, o środkach jakich chwycić się zamierza w celu przytłumienia wybuchu...

— W raportach — kończył — podają, że najbardziej niebezpiecznym partyzantem w tutejszym powiecie jest jakiś... Osa... Kosa... dobrze nie pamiętam; ale mam tu zanotowane jego prawdziwe nazwisko.

— Kosowicz! — przeczytał Skatinin — tak się nazywa.

Lica Marji pokryła śmiertelna bladość.

Kamerher zerwał się z krzesła.

— On! — wykrzyknął rozjuszony. — Szczenię! wykarmione przez moją żonę. Mówiłem: gadzinę wychowa

— Ojcze! — jęknęła Marja.

— Co! — krzyknął kamerher. — Ach, prawda! — I dodał zwracając się do pułkownika: — Ten buntownik wychował się w mym domu...

— W waszym domu? — przerwał mu moskal — i poszedł do *palakow?... Czudno!* A *mademoiselle Marie* może lubi tego buntowszczyka?

— Tak... tego — jąkał się kamerher, — Mówiłem nieboszce...

Marja wyszła z pokoju, zostawiając ojca z pułkownikiem, którzy długą sam na sam wiedli, dla nich interesującą rozmowę. Pułkownika jednak prześladowała myśl, że przyszła jego żona kocha się w miateżniku; perswazje kamerhera nie trafiały do jego przekonania...

— *Stało byt'!* źle! — mruczał. — Ten miateżnik wlazł mi w drogę niepotrzebnie... — Iwanie Pawłowiczu — dodał po chwili, uspokoiwszy się. — Nie taki ja dureń jak wam się zdawać może, i czytałem w *romanach* wiele rzeczy... Wiem jak to młode panny umieją się kochać!... Ale na to ja *sałdat*, aby wiedzieć, że u dziewczyny dobry żywy, a umarł ty — *praszczaj!* choćby jak kochała — da odstawkę! bo *izwiestno!* poco jej umarły?... A już ja w tem, że Kosowicz będzie wisiał! ja na tem postawię!... A teraz Iwanie Pawłowiczu! chodźmy co przekąsić, bo ja prawie *nataszczach* leciał tu, ażeby się pochwalić z moim powyszeniem...

— Służę ci pułkowniku! Już podano do stołu.

Przy obiedzie, Skatinin odzyskał humor. Dużo gadał, zaprawiając słowa moskiewskiemi dowcipami, które obrażałyby Marję, gdyby go tylko w stanie była słuchać... Starał się rozerwać zamyśloną, i obiecał, że nadal powstrzyma się od rozmów o buntowszczykach, gdyż on to wie z *romanów*, że kobiece nerwy nie wszystko znieść mogą...

Przy wetach, gdy pan pułkownik zakrapiał się szesnastym kieliszkiem wódki, wpadł do sali junkier kozacki, i wręczył dowódzcy depeszę.

Skatinin żywo rozłamał pieczęć pakietu, a w miarę odczytywania depeszy, twarz jego promieniała szatańskim wyrazem radości, aż wreszcie wykrzyknął:

— *Sławno!* O wilku mowa, a wilk tu. Iwanie Pawłowiczu! jutro staję do ślubu z waszą córką, i jutro jeszcze, tu, pod oknami zawiśnie Kosowicz!... Mam go w ręku!...

Z temi słowami wybiegł z pałacu, przed front oczekującej nań roty.

Marja zemdlała.

Pan kamerher pomiędzy córką i zięciem wybierając — zostawił zemdloną, ukłonami przeprowadziwszy pułkownika aż na ganek.

Za długą chwilę ocknęła się Marja. Cała okropność obrazu stanęła jej przed oczami...

— Boże! — jęknęła boleśnie.

Ale nie w sercu polki próżna rozpacz ma swoje siedlisko! miłość ojczyzny inne w niem, świętsze obudza uczucie!...

Marja upadła na kolana, błagając Boga, by ją natchnął, by słabej udzielił siły do wytrwania... A modlitwa taką opromieniała ją świętością, tyle jej nieziemskiego dodawała uroku, że i kamerher, który wszedł przed chwilą, zatrzymał się u progu, nie poważając się przerwać modłów córki. Spojrzał bacznie na Marję, uśmiech prześliznął się po jego wązkich ustach, i wyszedł.

*

* *

Juljan wszedł do szeregów powstańczych jako prosty żołnierz, i pełnił swoją powinność, nie oglądając się na urzęda, które nas tak często gubiły...

Towarzysze broni znali go i kochali, bo dzielnym był żołnierzem i bratem każdego z nich w potrzebie. Za ich to wolą, po śmierci naczelnika, Juljan objął dowództwo nad oddziałem.

Na tem stanowisku, Kosowicz wkrótce zasłynął pomiędzy swoimi; ale, co jeszcze zaszczytniej: wrogowie oddawali sprawiedliwość jego dzielności jako dowódzcy, osobistemu męstwu, przezorności, która go ratowała przed niebezpieczeństwami, imie jego czyniąc strasznem dla moskalów!

Gdzie go się najmniej spodziewano – tam się zjawił; wpadł, pobił nieprzyjaciela, i zniknął — aż przerażona Moskwa wyznaczyła cenę za głowę śmiałego partyzanta.

Wie wróg: w czem leży jego zwycięztwo!...

Wśród częstych potyczek, oddział Juljana zbliżył się do rodzinnej wioski, do wsi w której była jego Marja. On jej imie łączył z imieniem tej Królowej naszej, gdy szedł na boje... wśród dymów zaciemniających pole bojowe widział jej twarz tak promienną i jasną, że za nią idąc, ją mając przed sobą — ścielił sobie drogę przez zastępy nieprzyjaciół, i wychodził zwycięzcą.. O, bo miłość potężną do cudu, a moc jej wybiega po za kres naszego pojęcia!...

Tu po raz pierwszy doszła Juljana wieść o projektowanem małżeństwie moskala z Marją.

Nie wątpił, że nieludzki przymus tylko, gwałt może ją skłonić do tak potwornych związków — ale serce rozumowań nie zna!... Ono wie, że traci, na zawsze utraca to, co dlań wszystkiem było!...

Biedny Juljan!...

— Gdybyż umrzeć, nie przeżyć tej straty!... Tak — umrę! uskarzę się przed Stwórcą, że krom cierpień nie dał mi nic w tem życiu... Marjo! komuż cię zostawiam?...

Ciemność nocy ukryła łzę gorżką dzielnego partyzanta, któren człowiekiem być nie przestał.

Jakby posłuszna wezwaniu, spotkała go nazajutrz wieść, że cały oddział jest otoczony przez moskalów. Srebrniki judaszowe dokazały cudu: dowódzca został zdradzonym!

Wieść o tem, w pierwszej chwili, ucieszyła Juljana.

— Będę mógł zginąć, i zginę z chwałą! — zawołał; ale po chwili rozwagi zasępiło się młode czoło...

— I oni zginą — rzekł, spojrzawszy na oddział. — A czyliż mam prawo wszystkich poświęcać?...

Rumieniec zapału wybiegł na twarz młodzieńca, silnie zabiło młode serce.

— Bracia! — zawołał do towarzyszów. — Mamy przed sobą śmierć lub, zwycięztwo! bo któż z nas zechce żyć w hańbie?... Jesteśmy otoczeni przez dziesięćkroć silniejszego wroga; lecz nie on nas zwycięży! Przeciw sile ręki my siłę postawimy ducha — i z nami ojców sława! Niech żyje ojczyzna!

— Niech żyje! — odwtórzył oddział, nawskróś przejęty zapałem dowódzcy. — Śmierć wrogom! — jeden okrzyk wydobył się z piersi wszystkich, okrzyk straszliwy dla nieprzyjaciela, bo zimny grób mu zapewnia.

W tej chwili zbliżył się do wodza ordynans, raportując:

— Obywatelu! placówka przyprowadza do obozu jakąś kobietę, która się chce widzieć z tobą niezwłocznie. Czy każesz jej stanąć?

— Natychmiast! Może nam niesie wieść pomyślną. Towarzysze! — dodał zwracając się do oddziału — każden na swe stanowisko! być gotowym do boju.

Za chwilę stawiono przed dowódzcą kobietę, która się z nim widzieć pragnęła.

— Marja! — wykrzyknął Juljan, oczom swym nie wierząc, że ją tu ma przed sobą. — Tyżeś to? moja jedyna! — i drzącą jej rękę poniósł do ust gorących.

— Nie mamy chwili do stracenia — szepnęła Marja. — Możecie być uratowani i nas ratować.. Przez zarośla, koło bagniska pod »Krzyżą« możesz się zbliżyć do naszego ogrodu... Wkrótce przypuszczą atak.. Zostaw kilku ludzi dla zamaskowania... Sami przychodźcie... Bóg dobry — On da wam zwycięztwo... Bądź zdrów mój luby! — Śpiesz! Ja muszę wracać natychmiast — tam moja obecność jest niezbędną!... Żuczek wskaże wam drogę... Śpiesz! — Rzuciła łzawe spojrzenie na kochanka, i znikła wśród zarośli, jak senne widziadło.

— Marjo! — ocknął się Juljan; lecz jej nie miał już przed sobą. O kilka kroków stał mały chłopczyna, ciekawie przypatrując się obozowi powstańców.

*
* *

Jakby na przekorę panu, dwór kamerhera składał się z ludzi miłujących ojczyznę i gotowych poświęcić się dla niej.

Z grona domowników wyróżniał się stary Jakób, weteran z czasów Napoleona, któren, jak własne dzieci kochał Juljana i Marję, a z serca nienawidził pana .....ejkę.

Do niego to po modlitwie udała się Marja, przerażona wieścią o niebezpieczeństwie, w którem znajduje się Juljan — błagając starca o radę i pomoc.

— *Morbleu!* — zawołał do łez poruszony stary Jakób. — Jażbym nie miał ratować mego drogiego chłopca!... Coż ty, moja przepióreczko, myślisz może, że stary Jakób, który służył w jego armji, drzemał tu u was?... *Morbleu!* gorzko będzie moskalom od tej drzemki! Mam tu kilkudziesięciu zuchów. Już się oni zwąchali z obozem Julka, i mieli właśnie wyruszać.,. Ale skoro jest tak źle, to inaczej potrzeba zamanewrować. — Hm! A co, gdyby ich wziąć we dwa ognie?... *Morbleu!* toż by to było tym *krupnikom* gorąco! — Tak... ale ba!... jak tu podejrzenia nie wzbudzić? bo dzisiaj ma być twoje wesele... a moi chłopcy wszyscy na oku i w robocie...

— Czegoż potrzeba? — drżąc zapytała Marja.

— Ba! uwiadomić Julka, sprowadzić go tutaj, zanim w lesie oskoczą ich moskale... Kogo by tu posłać?... hm!

— Dziadziu! — cicho szepnęła Marja, nieśmiało patrząc mu w oczy. — Może nie wszystkich śledzą tu moskale?...

— Wszystkich! wszystkich! Nawet na mnie ten przeklęty zwrócił swoje ślepie.

— A ja? dziadziu! czy nie mogę uwiadomić Juljana?

— *Morbleu!* ty?... Nie pomyślałem o tem... Przepióreczko moja, dziecko drogie! — zawołał, ściskając ją ze łzami. — Jeszcze ta biedna Polska żyje, kiedy takie rodzą się dziewczęta. Niech cię Bóg błogosławi... Idź! Ciebie jedną tu nie śledzą — ty ich tu sprowadzisz, i — w dwa ognie, *morbleu!*... Ba! ale jakże sobie poradzisz w puszczy? zbłąkać łatwo...

— A Żuczek? dziadziu!

— Prawda! szczera prawda! Ten dzieciak jak kret myszkuje... On pierwszy powstańców wytropił w lesie... On cię bezpiecznie zaprowadzi... Idź, moje dziecię! a ja zabiorę się do przygotowań — i *morbleu!* przypomnę *krupom* jego czasy!...

Stary westchnął, wspomniawszy ubóstwianego cesarza; Marja cichą odmawiała modlitwę...

W skutek takiej to narady z Jakóbem, Marja udała się do obozu; a gdy wróciła, zapewnił ją Jakób, że wszystko jest w porządku, i kazał ulegać woli ojcowskiej, gotując się do ślubu z pułkownikiem.

. . . .

Zbliżała się godzina wesela — nie wiedział Skatinin: jakiego?...

Kamerher i pułkownik przechadzali się po salonie, czekając na ukończenie toalety panny młodej. Uszu ich dochodziły odgłosy strzałów harmatnich... Moskale bombardowali opróżniony obóz powstańczy!... Ślub się zwlekał, bo pułkownik chciał mieć w swem ręku Juljana, by, jak przyrzekł, powiesić go przed oknami pałacu...

Jeniec czy nie za długo każe na siebie czekać?...

— Poczekajmy jeszcze pół godziny.

Nie ma *miatieżnika!*...

— Jeszcze kwadrans!

I ten przeminął, a Kosowicza nie ma.

— *Czort pabieri!* — gniewnie wykrzyknął Skatinin — tak się opóźnia!... Wasza prawda Iwanie Pawłowiczu! możemy bez niego ślub rozpocząć. *Wsio rawno!* powiesimy go później.

W sam czas rozpoczęto obrzęd. Ledwie moskale otworzyli gęby, by krzyknąć: »*mnogaja leta!*« państwu młodym, a tu jak z nieba sypnęły się kule gradem, i powstańcy otoczyli nie przygotowaną do boju Moskwę.

Rzucili się moskale po broń — za późno! Już ona była w ręku powstańców, a wkrótce i sławni rycerze białego cara zostali więźniami buntowników.

Na odgłos strzałów zbladł kamerher, Skatinin spojrzał w okno, i ryknąwszy: *Izmiena!* (zdrada) rzucił się ku drzwiom.

— Ani kroku! — zatrzymał go dźwięczny głos kobiety.

Spojrzał — rewolwer Marji był skierowany do jego piersi.

Być wziętym do niewoli przez kobietę — nie pragnie nawet moskal... Rzucił się Skatinin, ale zginąć nie miał czasu — Juljan stanął przed nim.

— *Czort waźmi!* — wykrzyknął moskal, bezsilnie upadłszy na krzesło, i błędnem okiem wodząc po twarzach powstańców.

Kamerher drżał jak liść osiki.

* * *

A moskale bombardują opróżniony obóz; wreszcie rozumiejąc, że już pora — dowódzca nakazał wojsku: bagnetami wyparować powstańców z obronnego stanowiska.

— *Hurah!* — ryknęła dzicz moskiewska, rzucając się na okopy. Ale jakież było ich zdziwienie, gdy się przekonali, że w obozie nie ma żywej duszy — napróżno więc wystrzelali kilka pudów prochu!

Niezadługo zdziwienie moskali ustąpiło miejsca innemu uczuciu. Zbieg ze dworu uwiadomił ich o losie wojska i dowódzcy, radząc śpieszną ucieczkę, bo *miatieżników* — chmura!

— *Na lewo krugom marsz!* — i znikło dzielne wojsko potężnego cara!

* * *

We dworze dla jednych radość, a dla drugich zgrzytanie zębów.

Szturmujący obóz moskale, zanadto byli chyżymi w nogach, by można ich było gonić, a liczny niewolnik i potrzeba wymarszu, kazały dowódzcy przedsięwziąść stanowczą decyzję.

Na radzie wojennej postanowiono: żołnierzów, którzyby nie chcieli wstąpić do szeregów powstańczych, po odebraniu broni, zobowiązać przysięgą do niewystępowania przeciw polakom i puścić wolno; oficerowie i pułkownik zostali jeńcami do wymiany.

W godzinę po wydaniu rozkazu, ksiądz błogosławił u ołtarza młodą parę: Juljana i Marję.

Kamerher drżąc ściskał swe dziatki, Skatinin zgrzytał zębami.

Uczta weselna była przygotowaną. Wprawdzie inni goście do niej zasiedli — jednak spożywano dary boże wesoło.

Pan młody zaprosił do stołu oficerów i pułkownika. Panowie ci pili — ty byś myślał: z rospaczy... aż się popili napiękne.

Dowódzca, jak przystało, wiódł rej przed oficerami, i pijany był najbardziej.

Pod koniec rozwiązał mu się język.

— *Wy sławnyj małyj!* — rzekł do Juljana — *jej Bogu!* Złapaliście mnie *w prasak*, że nie wiem, co mówić przed naczalstwem!... Ale prawdę u nas powiadają: *Palaki — duraki!* Gdyby tak na mnie — wszystkich bym was kazał powiesić — *prawo słowo!*

— *Morbleu!* — zawołał w tej chwili Jakób. — Panie dowódzco! moskal dobrze mówi: byłbym za tem, ażeby ich tu wszystkich powiesić!... Próżna tylko zawada w drodze!...

Juljan uśmiechnął się, a Skatinin mruknął, łypiąc ślepiami.

— *Maszennik!* nie chce wieszać, bo wie, że za mnie wymienia polskiego jenerała...

* * *

Nazajutrz o świcie oddział stał w pogotowiu do wymarszu.

Przed frontem ukazał się dowódzca z nowym swym adjutantem.

Była nim Marja.

Towarzysze przywitali nowego kolegę okrzykiem: »Niech żyje!«

Dowódzca skinął — oddział ruszył w drogę.

Stary Jakób drżącą ręką błogosławił partyzantów.

— *Morbleu!* gdyby siły — mówił rozczulony. — Ale mi podobno już na inny apel stanąć — do n i e g o...

Ż u c z e k wytężonem okiem patrzył za znikającym oddziałem, i westchnął...

. . . .

Pan kamerher tegoż dnia jeszcze ruszył do stolicy — usprawiedliwić się...

W »Dzienniku Warszawskim« czytano:

»Wojska pod dowództwem pułkownika Skatinina rozbiły bandę powstańców; cały obóz zabrano; jeńców odstawiono do Lidy. Z naszej strony raniono dwóch, zabity — jeden.«

Ów historyczny j e d e n!!!

SERCE I ŹRÓDŁO.

Staś odjechał!... a Jadzia rówieśna
Dziwnie owem rozstaniem boleśna,
Kiedy oczkom nareszcie łez brak,
W dłonie skłania posępne swe czoło:
„Oni chcą go zamęczyć tą szkołą!
Za cożBoże ty karzesz nas tak?!“

I zerwała się bardzo żałośna,
I wybiegła w podwórko — tam wiosna!
Jaskółeczka już buja wśród chmur,
Pełne woni i śpiewu powietrze:
Więc też czoło i serce już letsze,
Skrzydłom myśli przybyło znów piór...

Jakoż myśl wnet wybiegła z podwórka, —
Jadzia poszła za myślą jak chmurka,
Co wyściga się z wiatrem przez strop...
Poszła!... Dokąd? — O, ptaków rówieśni!
Wam wybiegać gdzie szumy drzew — pieśni!...
Jadzia w borze głębokim... Hop! hop!

Echa tylko tajemnym tam wzrokiem —
Wichry liścia kołyszą obłokiem!
Nad parowem, jak leśni tej król
Rozczochrawszy zielone swe pierze,
Stał dąb jakby wsłuchany w tym szmerze
Co mu u stóp mrzyć zdać się: wul...wul...

Czyste, żywe źródełko to tętni!
Jadzia patrzy — i słucha, i chętniej
Przysłuchuje się biciu tych wód:
Bowiem nieraz mówiła jej mama,
Że źródełko-to serce!... Dziś sama
Widzi owo serduszko: — „Ach, cud!“

I radośne braciszka odkryciem,
Głośnem nagle ozwało się biciem
W piersi Jadzi serduszko — jak brat,
Jak brat wierny serduszko jej puka,
Jak ten brat który brata odszuka
Nieznanego od dziecka, od lat! —

Zadumane nad wód tych obiegiem,
Ciche dziewczę usiadło nad brzegiem
I o sercach marzyło i snach,
A jak perły ronione z wód serca
Szły obrazy do marzeń kobierca:
Na nim we łzach i z książką stał Stach!

Łza się chwiała na rzęsach dziewczęcia —
Myśli poszły do ócz wniebowzięcia
Jakby syte już ziemskich tych burz;
I wzrok wybiegł przez liści okienka
Ku niebiosom, gdzie właśnie jutrzenka
Na różowem wschodziła tle zórz...

Zachwycenie! świetlany gwiazd szychem
Wstawał wieczór barw suty przepychem —
Z rosy tkaną miał szatę, z mgły haft...
O, lecz z wszystkich gwiazd — jedna! jak rubin!
„Ach to Stasia, to Stasia Cherubin
Zawisł boskich podsłuchać tam prawd!...“

Więc chce dostać jej... objąć co żywo!...
A tak gwieździe podaną, skwapliwą,
Od stóp dziwny olśniewa znów wid:
Na źródlanej krężkowej wód fali
Stasia gwiazdka płomienna się pali,
Jak na stropie — w fal głębi jej szczyt...

Jadzia myśli... bo zda się, odpiętą
Z firmamentu tę gwiazdkę zaklętą,
Że swem okiem zaniosła w toń fal,
I na wodnych obrusów atłasie
Ułożyła — i znowu po czasie
Okiem z toni wypuści ją w dal!

Patrzy... widzi jak w tętnie źródełka
Wciąż się waha świetlana perełka:
To zabłyśnie — przygaśnie — znów lśni —
To się w wstęgę płomienną rozlewa,
To w paciorki rozpryśnie — omdlewa...
Znowu w koral się zbiega... trwa... drży...

To raz lekko kołysze się, mruga,
To jak światła rozpłynie się struga
Po muskanem w podmuchu wód tle —
To ośmiewa — to znowu przepadnie!
Raz na wierzchu fal błyśnie, raz na dnie...
Ledwie potrwa, pomyka znów — mknie...

I tak serca wodnego te żyły,
Długo gwiadzką się ową pieściły
Na się biorąc jej światło i wdzięk —
Coż w serduszku odbywa się Jadzi?
Ono pewnie się z źródłem nie wadzi!...
Gdy w tem... tonie odbiły gwiazd pęk...

I źródełko już kilka gwiazd pławi!
Z każdą równie się pieści i bawi,
Każda wdzięcznie w oblicze mu ćmi:
Jedna drugą uprzedza, wyściga...
Gwiazda Stasia już ledwie gdzieś miga —
Widna tylko po świateł swych krwi...

Lecz i krwawość ustąpi i zbladnie,
Gdy ją zaćmi gwiazd kilka gromadnie,
Z których każda ma świateł swych sieć...
Gwiazdka Stasia jak przez mgłę już świeci,
Aż stłumiona w tych blasków zamieci
Znikła całkiem... „Leć sobie już! leć!...“

Tak źródełko myślało zapewnie
Widząc tyle gwiazd innych — lecz rzewnie
Czuła Jadzia gwiazdeczki tej skon: —
Chciała wstrzymać... gdy naraz — o kręgi
Fal, ogniste złamały się wstęgi,
Jakby węże szły w tonie z wszech stron!...

Błyskawica oblała topiele!
Przy niej zgasło to gwiazdek wesele,
Jakby światłem zabite — a grom
Zawył w dali, i jakaś burz jędza
Czarne chmury na strop już napędza...
Ciemność rośnie... kto żywy do dom!

Bronisław Komorowski.

Nasza wielkość.

Tyle razy mówiono już i pisano: „Wasza wielkość, wasza wysokość!“ że zbiera mię chętka pomówić o „naszej wielkości.“ Sprobujmy!

Wiesz ty o tem szanowny mój czytelniku, że jesteś wielkim? we własnem przekonaniu... Wiesz o tem! jestem pewny; ale tego nie przypuszczasz, by wieloliczni panowie A, B, i t. d. aż do litery Z mieli być również jak ty wielkimi, w swojem przekonaniu... a jednak rzecz się ma nie inaczej!

Ty, ja i panowie A do Z, każden z nas, jest wielkim! Spojrzyj tylko.

Pan A, człowiek bardzo zacny, nie jest uczonym, politykiem, wodzem i t. d., lecz gospodarzem tylko, obywatelem... Nie rości on sobie prawa, by dorównywał wielkością mężom nauki, polityki i sztuki wojennej... pomimo to, na swojem stanowisku, uważa się tak dobrze za znakomitość, jak ów uczony, dyplomata i dowódzca!... Pan B, jest zupełnie tego samego zdania o sobie!... Pan C. również! D, E. i t. d. aż do litery Z — bo każden z nas pojedynczo jest wielkim, chociaż razem wzięci... lecz to do rzeczy nie należy!...

Pozwolę sobie na tem miejscu zwrócić uwagę na moją nieznaczącą figurkę. Niewątpliwie, mam skromne bardzo wyobrażenie o moich zdolnościach... gdy jednak zestawię siebie z innymi, widzę jasno, że talentem dorównywam panu A. mam więcej zdolności od pana B. o całe niebo wyższy jestem od pana C... i pomimo mojej skromności muszę sobie przyznać, że w mojem przekonaniu... w zakresie moich działań jestem... jestem wielkim! — Zupełnie tego samego zdania o sobie są tylko co wspomnieni panowie A. B. i C.! Takież same przekonanie żywi o sobie nasze Towarzystwo A. Akademja B., Bióro C. Spółka D. i t. d. aż do ostatniej rzeczy, która z nas pochodzi i naszą jest z krwi i kości... bowiem, pojedyńczo, wszyscy i wszystko u nas jest wielkie; ale razem wzięte... lecz to do rzeczy nie należy!

Ten piękny medal ma i drugą swoją stronę — odwrotną. Spojrzyjmy nań! Pan A. nie uczony, nie polityk, nie strategik, ale gospodarz — obywatel, jest wielkim! ma to przekonanie... jednak trudno mu jakoś uwierzyć, by owi trzej: uczony, dyplomata i strategik byli większymi od niego!... a nigdy na to nie zezwoli, ażeby jego sąsiad, taki jak on gospodarz-obywatel również mógł sobie rościć prawo do nazwy wielkiego, która to nazwa zdaje się być wyłączną własnością gospodarza-obywatela o jakim mówimy!... I w tem najzupełniej podobnymi są do niego panowie A. B. aż do Z!... podobnemi nasze Towarzystwo, Akademja, Bióro, Spółka i t. d.!... Sądzę, że temu nikt nie zaprzeczy? Lecz... przejdźmy do dalszego przykładu.

Przypuśćmy — a zastrzegam się, by jakiekolwiek przypuszczenie mogło być grzechem — że znajduje się w kraju naszym bardzo zacny obywatel, któren prenumerując jedno z pism krajowych literackich, rozczytuje się w niem z zamiłowaniem, rzekłbym nawet: studjuje go... Traf zrządza, że nie burza zwykła, ale burza losu wyrzuca na brzegi nasze również szanownego obywatela dalekiego kraju Indji, któren spostrzegłszy, iż nie mamy fig, kokosów i bananów, ale tylko rzepę, harbuzy i ogórki, zwraca swoją uwagę na inne szczegóły, i zapytuje owego obywatela, nie przybyłego z Indji, mniej więcej w ten sposób:

„Obywatelu galicjaninie! czy w kraju waszym, który rodzi rzepę, harbuzy i ogórki, znacie pismo?“ Oczewiście! „Czy macie książki?“ Niezawodnie, mamy takowe! „Nie zbywa wam na czasopismach?“ Czas, Narodówka!... — odpowie ów obywatel Galicji, bowiem jest i politykiem, chociaż nie w tem jego wielkość (patrz wyżej!).

Dowiedziawszy się o istnieniu Czasu i Narodówki, Jndjanin zapytuje dalej: „A jakie też macie, i czy macie jakie pisma literackie?“

Tak zagadnięty obywatel nie indjanin, przez obywatela indjanina, uczuwa gwałtowną potrzebę zamyślenia się... Czyni to — i milczy... Zamyśla się bardziej jeszcze — i nie przerywa milczenia. Zamyśla się najmocniej i — milczy zawsze!... Przypuśćmy, że ciekawy Indjanin powtarza zapytanie, cóż mu odpowie obywatel nieindjanin? Oto, jeśli jest człowiekiem sumiennym — a jest nim każden obywatel — tedy powie indjaninowi: „Obywatelu! znam w kraju jedno pismo literackie, które prenumeruję...“ Jeśli ma pewne skrupuły — a ma je, gdy rzecz dotyczy tego wszystkiego, co się zowie drukiem — doda: „Może jest jeszcze inne jakie pismo...“ Jeżeli zaś liczy na swą prawość, i ma prostotę ducha — a liczy na nią i nie jest pozbawionym prostoty — odpowie indjaninowi, w krótkich słowach:

— Obywatelu! — mamy tylko jedno pismo literackie, które prenumeruję!

Ów szanowny obywatel, nieindjanin, dopuścił się grzechu wyrzeczenia nieprawdy... jednak na śmiertelnem łożu nie będzie miał potrzeby za grzech ten żałować, bowiem „nieświadomość grzechu nie czyni...“ Obywatel, o jakim mowa, nie wiedział o istnieniu innego pisma, oprócz tego, które prenumeruje... nie wiedział o tem, bo jego pismo nic mu o żadnem nie mówiło!...

„Nowiny" są pismem skromnem, ale — pozwalam sobie powiedzieć w ich imieniu — mają przekonanie, iż są pismem niegorszem od pisma A, lepszem od B, a o niebo wyższem od C.! „Nowiny" mając sobie za obowiązek co tygodnia okazać się światu, czyniły to do 25 swoich narodzin; a jednak zapytajcie „Czas," „Kalinę," „Przegląd Polski" i t. d. czy wiedzą o istnieniu „Nowin?" Nie wiedzą! Czy kiedy, bodaj przypadkiem, wzmiankowały o tem piśmie? Nie wzmiankowały! A dla czego nie wzmiankowały? odpowiedź wyżej!...

„Nowiny" dały jeden dotychczas wyraźny dowód — odwagi... Odważyły się powstać obok pism innych — rzecz nie mała! Odważyły się nie bić czołem przed bogami — rzecz wielka! Odważyły się w sposób drażliwy poruszać pewne kwestje — rzecz jeszcze większa! A teraz odważą się na rzecz największą, bo mówić będą o pismach naszych literackich, i mają nadzieję zmusić te pisma do wzajemnego o sobie mówienia, by szlachetny obywatel Jndji wiedział przynajmniej tyle o nas, iż obok rzepy, harbuzów i ogórków ziemia nasza rodzi więcej, aniżeli jedno pismo literackie!

DRUGI TEATR POLSKI WE LWOWIE.

„Zdarzają się cuda na świecte, o których nie śniło się filozofom." Dotychczas znaliśmy przywileje, będące korzyścią dla uprzywilejowanych, nikt jednak nie słyszał, ażeby przywilej był ciężarem i zgubą dla tego, kto nim został obdarzony. A jednak z naszym teatrem Skarbka ma się rzecz nie inaczej! Uprzywilejowany dźwiga na karku fundacji teatr niemiecki, któren wiemy dlaczego? ale niewiadomo nam: dlakogo istnieje? gdyż publiczności niemieckiej w naszem mieście nie ma, a jeśli i są niemcy, to liczba ich tak jest małoznaczącą, że własnemi siłami utrzymać teatru nie zdołają! Przywilej ten jedyny w swoim rodzaju i z pewnością nieznajdujący podobnego sobie na kuli ziemskiej, oprócz strat materjalnych, o które przyprawia fundację Skarbka— pociąga za sobą niekorzyści moralne, które musieliśmy cierpliwie znosić nie mając prawa protestowania przeciwko złemu. Przywilej Skarbka krzywdząc wdowy i sieroty, których pieniądze zabierał na przedstawienia nędznych fars niemieckich i niedoszłych oper, przyczynił się w prostem następstwie i do upadku sceny polskiej, a to przez zawarowanie, iż we Lwowie nie może istnieć inna scena polska, krom tej, która w teatrze Skarbka rozporządza stukilkunastu przedstawieniami. Takie zawarowanie, korzystne dla rozwoju teatru, gdy ten zostaje pod kierownictwem zdolnem i sumiennem, stało się jego zagubą gdy teatr przeszedł pod dyrekcję człowieka nieumiejącego dać mu należytego kierunku.

Najgorliwszy obrońca p. Miłaszewskiego, obecnego dyrektora sceny lwowskiej, nie zdoła odeprzeć czynionych mu zarzutów, bo stan dzisiejszy teatru najwymowniej świadczy przeciwko dyrektorowi. Nie widzimy na scenie umiejętnego kierownictwa, dowodem czego jest zupełnie lichy repertoarz; nie ma scena nasza odpowiednich sił artystycznych, które po ustąpieniu pp. Nowakowskich zubożały tak dalece, że dziś już mowy być nie może o przedstawieniu dramatu, któren kulejąc na scenie lwowskiej od chwili objęcia dyrekcji przez p. Miłaszewskiego, ustąpił z niej zupełnie. Komedja jako tako trzyma się jeszcze, mając w p. Linkowskim znakomitego artystę do ról komicznych... Ale opera, nawet ta nieszczęsna opera, dla której p. Miłaszewski nie wahał się zapomnieć o swych obowiązkach, w jakim że znajduje się stanie?... Czyliż dyrektor ją przynajmniej szczerze pragnie wzmocnić odpowiedniemij siłami? Gdzie zaś! Panna Kwicińska, pp. Koncewicz i Wojnowski — otoż i wszystko, bo i pannę Sobolewskę tylko czasowie zaangażowaną... A gdy p. Niedzielski chciał z grzeczności wystąpić w *Halce*, gdy p. Wysocki tegoż samego pragnie — któż to wzbronił im występu? Nikt inny, tylko p. Miłaszewski! któremu, jak widzimy, nawet i o operę nie chodzi... Czegoż więc chce dyrektor? Zdaje się, że nie omylimy się odpowiadając: mniej, aniżeli miernoty we wszystkiem, czyli: zabicia sceny lwowskiej i pozostawienia jej swemu następcy w stanie takim, w jakim pozostawił pan Miłaszewski teatr krakowski.

Niemało dziwi wszystkich, że ten sam dyrektor, któren tak licho utrzymuje scenę lwowską, któren zabił scenę krakowską, znakomicie kierował sceną Żytomierską... i na tym fakcie obrońcy p. Miłaszewskiego chętnie budują zamki jego chwały... Bliżej obeznani ze szczegółami, fakt ten tłumaczymy tym prostym sposobem, że p. Miłaszewski był tylko tytułowym dyrektorem sceny Żytomierskiej, rzeczywistym zaś J. I. Kraszewski, któren miał dość ważne powody, szeroko głosić jego sławę... chociaż w rzeczywistości w sąsiednim Kijowie, a nawet w Kamieńcu były teatra w niczem nie ustępujące teatrowi Żytomierskiemu; a ponieważ te wiele pozostawiały do życzenia — nie ma więc dobrej racji na podstawie problematycznej wziętości teatru Żytomierskiego orzekać o zdolnościach dyrektorskich p. Miłaszewskiego...

Wszyscy patrzymy na upadek sceny lwowskiej, wszystkim upadek jej leży na sercu, a nikt nie widział możności zaradzenia złemu. Mocą kontraktu p. Miłaszewski został panem życia i śmierci teatru, i w prawa jego nikt wdzierać się nie mógł; przywilej ów, mocą którego nie wolno było mieć drugiego teatru we Lwowie, uniemożliwiał ostatni ratunek, jaki pozostawał dla teatru polskiego w stolicy. Ale Bóg łaskaw! Liberalna konstytucja przywilejów nie cierpi — zakaz więc otwierania teatru innego obok teatru Skarbka upadł sam przez się. Chodziło tylko o to: czy znajdzie się kto taki, którenby miał dość sił w sobie stanąć do zapasów ze złem i takowe przełamać?...

Pokazuje się, że niezbywa nam jeszcze na potrzebnych siłach, i że prawdziwem jest przysłowie: „Nie ma złego bez dobrego!" Wszechwładny dyrektor pozbawił naszą scenę jej ozdoby: pani Nowakowskiej i jej męża, artystów tych usunąwszy ze sceny... A że prowincja posiada dyrektora teatru, któren mimo swej młodości dobrą dał naukę starszym dyrekcjom: jak należy prowadzić scenę?... dobra więc wola dźwignięcia sceny polskiej w stolicy z upadku złączyła szlachetne usiłowania, i pp. Miłosz Sztengel i Lech Nowakowski, powołując się na odnośne paragrafy konstytucji, podali do władz prośbę o pozwolenie otwarcia drugiego teatru we Lwowie.

Znając działalność i energię p. Sztengla, przekonani o pierwszorzędym talencie pp. Nowakowskich — z serca cieszymy się tem ich połączeniem, ufni, że dadzą nam we Lwowie teatr, jaki należy się stolicy kraju, jakim on być powinien, a jakim nie jest, dzięki obecnej dyrekcji teatru Skarbka,

Przyszli dyrektorowie drugiego teatru w stolicy wydali pod dniem 25. kwietnia następującą odezwę:

„Chęć podniesienia sceny polskiej z jej prawie zupełnego upadku na prowincji, znagliła mnie do założenia teatru w Stanisławowie. O ile zdołałem takowy odpowiednio mym środkom postawić? niechaj osądzi publiczność tych miast w Galicji, w których z teatrem moim gościłem.

„Zarówno ze wszystkimi bolejąc nad upadkiem sceny polskiej w stolicy, uczułem się obowiązanym, przy zmianie obecnych stosunków państwowych pokusić się, czy nie osiągnę możności służenia krajowi na tej szerszej arenie. Z wiarą w powodzenie dobrej sprawy, obliczywszy się z siłami, umyśliłem założyć drugi teatr stały we Lwowie. W tym celu wszedłszy w spółkę z zaszczytnie znanym na scenie polskiej artystą, panem Lechem Nowakowskim, synem niezapomnianego ś. p. Jana Nowakowskiego, a tem samem pozyskawszy teatrowi jedną z najpierwszych dziś artystek polskich panią Teofilę Nowakowską, wniosłem do władz podanie o udzielenie nam koncesji na utworzenie stałego teatru we Lwowie.

„Ale ponieważ ostateczne roztrzygnięcie tej sprawy wymaga dłuższego przeciągu czasu, więc oczekując uzyskania koncesji na teatr we Lwowie, w spółce z panem Lechem Nowakowskim, już z dniem 1go maja b. r. rozpoczynamy przedstawienia sceniczne w Stanisławowie.

„Zaopatrzywszy teatr nasz we wszystko, postarawszy się o dobór sił artystycznych i o jak najlepszy repertoarz, zapewniwszy sobie pomoc dramatycznych pisarzy ojczystych, z podwojną energią przystępuję do pracy w zaufaniu, że jak dotychczas, Szanowna Publiczność nie odmówi mi swego uznania i poparcia.

Miłosz Sztengel, dyrektor teatru."

Przejęty chęcią służenia sztuce narodowej, a wstępując na ciernistą drogę pracy przy teatrze prowincjonalnym, polecam się względom Szanownej Publiczności, jako Jej wierny sługa

Lech Nowakowski.

Pan Nowakowski udał się do Pragi w celu zakupienia potrzebnych rekwizytów dla teatru, pan Sztengel zaś do Warszawy, a w maju zjeżdżają dyrektorowie do Stanisławowa, któremu zazdrościć wypada, że oto raz drugi już będzie miał w swych murach teatr prowadzony wzorowie.

Z niecierpliwością oczekujemu chwili otwarcia teatru panów Sztengla i Nowakowskiego we Lwowie, będzie on bowiem stanowić epokę w dziejach teatru, i wymowniej, aniżeli nasze artykuły poprze twierdzenie: że tylko nieudolności dyrekcji przypisać należy upadek naszej sceny, który zaprzeczyć się nie da...

Rozmaitości.

* Wielce dla nas są ciekawe opisy cesarskiej publicznej biblioteki petersburgskiej, ogłoszone z urzędu, z odniesieniem się do postanowień i ukazów włączających do tego zbioru księgi drogą konfiskat w Polsce zyskane. Zeznają moskale: iż biblioteka Załuskich, przewieziona do Petersburga po wzięciu Warszawy przez Suwarowa, dała początek ich zbiorom; a wynosiła 262.000 tomów, i 10.000 rękopisów. Następnie w roku 1832 włączono do biblioteki petersburgskiej zbiory: Jezuitów z Połocka, książąt Sapiehów, Rzewuskich, Czartoryskich (7.728 dzieł z samych Puław). W roku 1834 zabrano bibliotekę Towarzystwa przyjaciół nauk liczącą 150.000 książek, oraz kilka zbiorów pomniejszych. Nie trudem bibliografów i kosztem rządu, ale zaborem i wojną powiększały się te naukowe skarby gromadzone w Petersburgu, a więc wojny: perska oraz turecka, przyczyniły się także do wzrostu owej biblioteki, liczącej obecnie 840.853 tomów, 29.045 rękopisów i 66.162 rycin. Dwie trzecie części tej ogromnej cyfry stanowi własność polska.

* Olbrzymi okręt pancerny. Jeden z największych okrętów pancernych, który dotąd zbudowano w Anglji, jest „Król Wilhelm," ukończony właśnie w hamarniach Tamizy dla rządu pruskiego. Okręt ten ma ośmiocalowe płyty żelazne z baterją o 26 działach trzyfuntowych, wszystkie odtylcowe, wynalazku Kruppsa Stahl, i takiej konstrukcji, że z ładunkiem 75funtowym mogą strzelać dwa razy na minutę. (Sławny okręt „Warrior," zbudowany na tym samym warsztacie, okryty jest tylko do połowy długości 4¼ calowemi płytami żelaznemi, i ma mieć 26 dział, ale między temi jest tylko cztery 150 funtowych, wszystkie zaś inne są mniejszego kalibru). Długość okrytu wynosi 264 stóp, jest on więc krótszy o 15 stóp niż „Warrior," ale za to szerszy od niego o 2 stóp t. j. 60 przeciw 58. Objętość jego wynosi 6.000 beczek, a średnia głębokość zanurzenia w wodzie 26 stóp. Działanie machin parowych równe jest nominalnie sile 1.150 koni, ale może być podwyższone aż do siły 7.000 koni. Podług zwykłych obliczeń będzie ten okręt przebiegać 10 do 14 węzłów na godzinę. Czterdzieści pieców trzeba opalać, ażeby utrzymać go w pełnym biegu; na to potrzeba dziennie przeszło 80 beczek węgla, a w rezerwoarach mieści się tylko 700 beczek. Załoga okrętu oznaczona jest na 700 ludzi. W marcu spuszczony został „Król Wilhelm" z warsztatu i przeprowadzono go do Doków Wiktorji, w jesieni zaś wyruszy po raz pierwszy na morze zupełnie już uzbrojony. Koszta budowy jego obliczono na 400.000 funtów szterlingów.

* Żelazny człowiek. Niejaki Zadok Dederik w Newark w Ameryce północnej, zbudował machinę parową w kształcie człowieka. Machina ta znajduje się obecnie w muzeum tamecznem. Żelazny ów człowiek jest 7 stóp 9 cali wysoki; objętość jego wynosi 200 cali, waga 500 funtów, porusza nogami jak człowiek żywy: w obszernem jego wnętrzu mieści się kocioł parowy i ognisko. Piszczałka parowa jest w ustach, a z tyłu głowy klapa bezpieczeństwa; na głowie ma wysoki cylindrowy kapelusz, przez który dym uchodzi. Zaprzęga się ta machina do eleganckiego powozu na cztery osoby, mieszczącego także zapas wody i węgla na cały jeden dzień. Na koźle siedzący woźnica kieruje zaprzężonym żelaznym człowiekiem w lewo i w prawo wprawia go w ruch lub zatrzymuje, przyspiesza lub zwalnia jego bieg. Budowniczy tej machiny utrzymuje, że 20 funtów pary wystarcza na jej poruszenie, i zużywa dziennie 20 centnarów (?) węgla, a siłę ma 4 koni parowych. Każden krok żelaznego człowieka znaczy 30 cali; przeszkody nie wyższe nad jedną stopę, łatwo przezwycięża. Po równej dłodze ubiega ten człowiek milę angelską w 2 minuty. Wynalazca zamierza zrobić także konia żelazno-parowego.

* Frak przyczyną śmieci. Syn pana Rice, właściciela cyrku w Londynie, wszedł jak zwykle do klatki lwa, aby się popisać z swemi sztukami. Zwyczajnie ubrany był w indyjski strój, do czego znać lew był przywykł. Ostatnią jednak razą założył się p. R., że się ukaże wśród dzikich zwierząt we fraku. I to mu właśnie na złe wypadło. Zaledwo wszedł do klatki, rzucił się na niego najulubieńszy lew, powalił go na ziemię i pochwycił zębami jedną nogę, którą natychmiast pogruchotał i pogryzł. Dozorcy zwierząt dołożyli wszelkich starań, aby rozjuszonemu lwu wyrwać zdobycz, co im się wreszcie udało, lecz śmiały pogromca dzikich zwierząt jeszcze tego samego wieczora, mimo amputowania nogi, życiem swą nierozwagę przepłacił.

* Walka giełdowa na śmierć i życie. Burzliwe wypadki polityczne amerykańskiej Unii, będące koniecznem następstwem usiłowań chcących pozbawić władzy obecnego prezydenta, zostały nieco przygłuszone w Nowym Jorku przez ważne wzburzenie w finansowym świecie, wzburzenie, o jakiem dotychczas nigdy nie słyszano. Idzie o opanowanie kolei żelaznej „Erie", której akcje są już od lat kilku przedmiotem spekulacji na amerykańskim targu. W siedmioletnim okresie czasu akcje tej drogi żelaznej z 17 w 1861 roku podniosły się w 1864 roku na 126 i spadły znów na 70 do 80. Nie jeden spekulant został żebrakiem a niejeden doszedł do kolosalnej fortuny. W tej ostatniej kategorji należy na pierwszem miejscu postawić pana Drew'a, pełniącego od lat wielu obowiązki głównego dyrektora i podskarbiego towarzystwa. Doszedłszy przez korzystne spekulacje do ogromnego majątku, wolał on za pomocą szczęśliwych obrotów stać się panem całej drogi żelaznej. Zaforszusował jej 3,000.000 dolarów, a otrzymawszy tym sposobem do ręki 68.000 akcji, puścił wszystkie od razu w obieg, w skutek czego w dni kilka papiery drogi żelaznej spadły o 40 prct. Jako nieograniczony pan, kierował Drew całą spekulacją, a wywołując sztuczne obniżenie (baisse) ile razy uważał to dla sie-

bie za korzystne, sprawił, iż grający na podwyższenie (hausse) tłumnie pod ciosami jego padali. Samowładca atoli znalazł podobnego sobie zapaśnika. — Vanderbilt, król dróg żelaznych, jak nazywają go w Unii, właściciel Nowojorsko-centralnej drogi żelaznej, a jako taki, współzawodnik towarzystwa „Erie", postanowił linią drogi żelaznej „Erie" wcielić do swego państwa. Wystąpił też jako nabywca akcji towarzystwa w „Erie" właśnie w chwili, kiedy grający na podwyższenie wystąpili ze skargą przeciwko Drewowi i wysłali sądowy wyrok, odejmujący mu władzę rozporządzania akcjami drogi żelaznej. Akcje „Erie" się podniosły. Wyrok innego sędziego ze stronnictwa Erew'a zawiesił wykonanie wyż wzmiankowanego wyroku i zniżył znów notowanie o 7 prct., to jest na 71. Wtedy Vanderbilt wydał polecenie zakupienia 60.000 akcji, a nowe sądowe kroki dodały jednocześnie otuchy grającym na podwyżkę; akcje drogi „Erie" bezustannie się podnosiły i doszły do 83. Drew zdawał się być pobitym, ale tylko pozornie. Wnet rozszerzyła się wieść, że Drewowi znów się udało utrzymać ze swemi żądaniami przed sądem, i że w porozumieniu z innymi dyrektorami zamienił bony (preferreed stocks) za 6,000.000 dolarów na zwyczajne akcje i sprzedał je niżej 82. W 20 minut akcje towarzystwa „Erie" spadły z $78^{1}/_{2}$ na $71^{1}/_{2}$, w półgodziny później stały 78, a w pięć minut potem 74. Powstały ztąd wykrzyki tryumfu i rozpaczy obustronnych zapaśników. W następstwie papiery spadły jeszcze na 67. Tymczasem kroki sądowe były z obu stron energicznie popierane. Drew powołuje się głośno na swoje prawo i utrzymuje, że sędzia Bernard, który wydał niekorzystny mu wyrok, sam jest interesowany w podwyżce. Ażeby się jednak ubezpieczyć i nie być nagle pozbawionym władzy przez przyaresztowanie, Drew usunął się z pod juryzdykcji sądowej nowojorskiej do Jersey-City. Tam z 8,000.000 dolarów otrzymanemi ze sprzedaży wypuszczonych ostatnio na targ 100,000 akcji i księgami towarzystwa obwarował się w hotelu Taylora z całym zastępem swych przyjaciół, policji i trzema działami dla uchronienia się od napadów. Zdaje się, że oddział 50 Rowdów miał polecenie opanować przemocą księgi i fundusze. Tymczasowo wyrok sędziego Bernarda został zawieszony w wykonaniu. Wysokie ceny na drodze żelaznej „Erie" zostały znacznie obniżone, ażeby zniszczyć do szczętu nowojorsko-centralną drogę żelazną, a w obecnej chwili zwycięztwo grających na obniżenie (baisse) za zupełne uważane być może.

* Jednym z najtańszych illustrowanych tygodników paryzkich, a zatem prawdopodobnie mogącym mieć i u nas prenumeratorów, jest „Magasin du Foyer." Pismo to, od dwóch czy trzech lat wychodzące, okazywało się z początku przychylnem Polsce, umieściło parę opowiadań z dziejów naszych i przekład jednej powieści Korzeniowskiego. Na raz z początkiem roku zmieniło się zupełnie. Znać redaktorowie odkryli, że mogą mieć daleko więcej prenumeratorów w Moskwie niż w Polsce. W ostatnich pięciu numerach, od 9. do 8. marca, ciągnie się wyjątek z podróży po naszym kraju, pod tytułem: *Un hiver en Pologne.* Trudno sobie coś niegodziwszego wystawić; stek samych kłamstw i oszczerstw, jak gdyby jaki artykuł z „Dziennika Warszawskiego." Autor wychodzi z założenia, że gdyby Polska nie była tak oddaloną i tak nieznaną Francuzom, niktby dla niej we Francji nie miał najmniejszego współczucia. Wszystko, według niego, jest u nas plugastwem, kłamstwem, okrucieństwem. Zaproszony przez jakąś magnacką polską rodzinę, aby u niej, na Wołyniu czy na Podolu, bo o 6 dni drogi do Lwowa, zimę przepędził, znajduje się z nią najprzód w Krakowie, który, jego zdaniem, nie wart widzenia, gdyż najmniejszego ciekawego nie posiada monumentu. Wstęp swój do zamku swych przyjaciół poczyna od opisu, jak katują dziewkę za to, że śmietankę do kawy nieco przydymiła. Był to rok, w którym car wydał ukaz o uwłaszczeniu włościan. Autor opowiada, że nie znalazł polaka, któryby z tego powodu nie miotał przekleństw i nie srożył się na tak dobroczynnego i wspaniałomyślnego monarchę. Od tej chwili zamiast zmniejszyć ucisk, szlachta podwoiła srogość knuta, który, według tej relacji, ma być daleko częściej używany w Polsce niż w Moskwie. Razu jednego, gdy tak burzy się szlachta, jakiś pan przybywa i powiada: „Nie turbujcie się, zróbcie wszyscy jak ja, dziś rano doszła do mych chłopów wiadomość o tym przeklętym ukazie, więc żeby im pokazać, iż się nic nie zmieniło i zmienić nie może, kazałem wszystkim od jednego do drugiego, równie mężczyznom jak kobietom, porządnie knutem skórę wyćwiczyć." Damy polskie, równie srogie a brudne, elegantki a wciąż plujące, fałszywe, żyjące kłamstwem i intrygą, każda z nich ma przynajmniej trzech żyjących mężów, z którymi pomimo rozwodu zostaje w jak najlepszych stosunkach. Sam autor widział jakiegoś pana grającego w wista z trzema żonami. Raz przyjechała przy nim jakaś wielka pani do hrabiny i od pierwszego wyrazu oświadczyła, że przybywa prosić o rękę jej córki dla swego męża, gdyż otrzymawszy rozwód wyjeżdża nazajutrz do Warszawy, by pójść za kogo innego. To tylko dziwne, że się wszystko dzieje w obec cudzoziemca bez żadnej żadny, i że szlachta tak kłamstwu oddana nie umie niczego zataić, i sama na wyścigi odkrywa swe sprośności. Nie byłoby końca, gdybyśmy chcieli wszystkie oszczerstwa wyliczać. Nasz podróżnik udaje się wreszcie z tą samą rodziną do Polski pod panowaniem pruskiem. Tu znajduje większą czystość ale to samo barbarzyństwo i srogość. Jest np. świadkiem (słuchajcie panowie prokuratorzy) jak gospodyni, pani zamożna, dla nadania sobie powagi, okłada niemiłosiernie batogiem jednego dnia w każdym tygodniu wszystkich swych służebnych, domowników, a w końcu i własne dzieci. Przejazd ten z Wołynia lub Ukrainy trwał tylko dwa dni. Ta okoliczność nasuwa podejrzenie, że autor nie był w Polsce, nawet jeografii nie zna. Jeżeli był, to ze wszystkiego wydaje się, odegnanym lokajem lub guwernerem, albo co gorzej, najemnikiem moskiewskim. Pisze w rodzaju żeńskim, jak kobieta, ale dla honoru płci pięknej wolimy mniemać, że i to zmyślenie. Powinnością naszą było wspomnieć o tym artykule, aby przestrzedz polskich prenumeratorów tego pisma. Warto przytem, aby który rodak w Paryżu zwrócił w jakim poważnym dzienniku uwagę Francuzów na tę haniebną spekulacją.

* Pewnego dnia pod wieczór przybył do miasteczka Ponte Landalgo w Neapolitańskiem bogaty podróżujący złotnik. Obejrzawszy się po oberzach mniemał że żadna z nich nie budzi zaufania; niechcąc więc w nich nocować, prosił o gościnność księdza, mieszkającego w domku osobnym wraz ze starą służącą. Ksiądz kazał mu dać pokój osobny, i około godziny 10. cały dom, ksiądz, służąca, podróżny, byli we śnie pogrążeni. Aliści około północy służąca nagle się budzi na hałas gwałtowny osób kołatających u drzwi. Kto tam? — pyta zerwawszy się z posłania. — „Sędzia pokoju wraz z pisarzem" — była odpowiedź. „W imię prawa otwórzcie!" Służąca drzwi otwiera, i niebawem pada pchnięta nożem. Dwaj napastnicy wpadają do izby gdzie spoczywał ksiądz, i mordują go. Poczem wchodzą do pokoju gdzie leżał podróżny, ale ten przygotowawszy rewolwer o sześciu strzałach zabija obudwu napastników. O wschodzie słońca sprawa się wyjaśniła. Nie byli to złoczyńcy, którzy podszyli się pod urzędników, ale rzeczywiście sędzia pokoju miasteczka Ponte Landalgo i jego pisarz, którzy byli złoczyńcami.

* We Włoszech w prowincjach południowych rozbójnictwo znowu bardzo się wzmogło. W Terra di Lavore grasuje banda niejakiego *Pase* i kilka band mniejszych. Głównie usadowiły się one koło Casino, niedaleko kolei i do Rzymu, ztamtąd od stycznia napadały na miasteczka i wioski, chwytając dla zyskania wykupu, nieraz nawet mordując niewykupionych. W dniu 11. marca syndyk z Persenzano telegrafował do majora Lombardji, że banda z 38 ludzi ukazała się koło Monte-Cavallo. Wszystkie te miejsca leżą na drodze z Neapolu do Rzymu. Lombardi przybył późno wieczorem, i rozdzieliwszy swój oddział na kilka mniejszych, zaczął obławę. Jeden z tych oddziałów znalazł garnek przy ogniu, polewka jeszcze się gotowała; to znaczyło, że rozbójnicy zostali ostrzeżeni, że są niedaleko. W istocie wkrótce ich ujrzano pnących się na strome góry i skały, co tylko mogli zrobić ludzie doskonale znający miejscowość, w tych skałach mieli swe pewne kryjówki. Pnąc się po skałach dawali jeszcze ognia do żołnierzy i wymyślali po swojemu. Ale gdy przybyli do szczytu góry, spotkali tam drugi oddział żołnierzy. Ze strachu wymyślania zamieniły się w modlitwy, bo prawdziwy włoski rozbójnik jest nabożny. Zaczęli się cofać w inną stronę, ale tu spotkał ich trzeci oddział i powitał strzałami karabinowemi. Rozbójnicy w rozsypkę i w nogi, korzystając ze zmierzchu; jednakże zostawili na placu czterech zabitych, a dwóch ludzi i trzy kobiety wojsko wzięło do niewoli. Pomiędzy zabitymi znajdował się niejaki *Marino,* wielki łotr, który od r. 1860 bawił się tem strasznem rzemiosłem. Goniony przez żołnierza zawołał: Stój! bo zabiję," i w tej chwili padł od kuli. Drugi, zwany *Savrastaria*, zakłóty bagnetem, schwytał niedawno dwóch braci *Petrillów* i jednego zamordował. Ów drugi *Petrillo* zachowany przy życiu, znajdował się z bandą w czasie bitwy, a herszt *Pase*, nie chcąc puszczać takiej zdobyczy, za którą się spodziewał pięknego okupu, schwycił go za rękę i ściskając ciągnął z sobą. Szczęściem kula strzaskała rękę hersztowi (tak samo mogła strzaskać głowę jeńcowi), *Petrillo* upadł i został przez żołnierzy poznany. Z wziętych trzech kobiet (nazywają je *brigantese* brygantki), jedna jest siostrą rozbójnika *Marino* a kochanką *capobanda* (herszta) *Pase*; druga mająca zaledwie lat piętnaście, sprzedana została przez własnego ojca za 850 lirów rozbójnikowi *Longo.* Wszyscy ci więźniowie zdawali się być obojętnymi na swój los; przytomni oburzali się na siostrę rozbójnika *Marino*, która będą przywiązana do trupa brata, spokojnie jadła strawę, którą municypalność w Mignano dla więź-

niów sporządzić kazała. Na drugi dzień wzięto jeszcze do niewoli pięciu, a dwóch się poddało. *Patrillo*, który będąc długo w niewoli u rozbójników, mógł poznać ich zwyczaje, zapewnia że rozbójnicy unikają nizin, pochody odbywają w nocy, dzień przepędzają tam gdzie ich napotka wschodzące słońce i śpią do wieczora. Tak jego jak innych jeńców rozbójnicy dobrze traktowali na górach Caspoli i Camerino; co rano każdemu z jeńców dawano po cztery cygara i dobrą kawę. Czasami jednak przychodziło pościć trzy dni z rzędu. Rozbójnicy rzadko do nich mówili. Posłuszeństwo pomiędzy rozbójnikami wielkie, karność niezmiernie surowa; tak np. rozbójnik jeden, który zasnął na placówce, został natychmiast śmiercią ukarany. Gdyby nie ów szczęśliwy wypadek, *Petrillo* zostałby rozstrzelany za dwa dni, jako w ostatnim terminie do złożenia okupu. Spodziewają się, że generał *Pallavicini* zdoła oczyścić kraj z tych band: cóż ztąd? Chociażby dzisiejszych rozbójników co do nogi wystrzelał, znajdą się zaraz inni. By wykorzenić rozbójnictwo, które jest w tych stronach rodzajem choroby społecznej, potrzebaby samo społeczeństwo leczyć, to jest postawić je w innych jak dziś warunkach moralnych i ekonomicznych. Ciemnota, próżniactwo, ubóstwo są tak potężnemi sprzymierzeńcami rozbójnictwa, że wszelkie wojskowe kombinacje przeciw nim nie poradzą.

* Stanowisko kobiet w Indjach. Niejedna z pań naszych, władających tak potężnie losami swoich hołdowników, ani pomyślała nawet, jak gorąco powinna dziękować Opatrzości, że nie urodziła się w Indjach nad brzegami Gangesu, i jak niesłusznemi są jej utyskiwania na srogość i dumę mężczyzn, zasługujących zaprawdę na nazwę aniołów w porównaniu z okrutnymi synami Hindu. Bo też los kobiety indyjskiej jest w istocie godnym pożałowania. Jak we wszystkich krajach na Wschodzie, stoją kobiety na najniższym stopniu oświaty umysłowej i moralnej, całe ich wychowanie skierowane jest na to, by stłumić w nich wszelką samodzielność myśli i uczucia i usposobić je tylko do niewolniczej uległości dla męża, z którym jako dzieci jeszcze w wieku od 10 do 12 lat zaślubiane bywają. Dość jest przeczytać tylko przepisy, jakie zakreśla tamtejszej kobiecie święta księga indyjska, tak zwana „Polavor Purina," ażeby powziąść dokładne wyobrażenie o smutnem położeniu nadobnych cór tego kraju. Oto n. p. mała próbka tych przykazań: „Kobiecie nie wolno mieć żadnego innego Boga na ziemi, prócz męża. I chociażby go szpeciły wszystkie wady i ułomności, chociażby był najgorszym i najnieprzyjemniejszym, musi przecież żona uważać go zawsze za swojego Boga, poświęcić mu całą troskliwość swoją i nie dawać mu nigdy powodu do gniewu lub zmartwienia. Dla jego przyjemności powinna zdobić się i stroić i w każdym względzie bez najmniejszego uporu stosować się do jego usposobienia i woli; jeśli on się śmieje, musi i ona śmiać się, jeśli płacze i ona płakać musi. Żona nie śmie jeść wprzódy, aż mąż wstanie od jedzenia; jeśli on pości, musi pościć i ona; jeśli on jeść nie może i ona także jeść nie powinna. Gdy mąż śpiewa, musi żona okazywać największą radość; gdy tańczy, musi przypatrywać mu się z zachwyceniem; gdy mówi, słuchać go z podziwieniem. A jeśli mąż gniewa się, łaje ją albo nawet uderzy niesłusznie, musi całować ręce jego i prosić o przebaczenie, nigdy zaś nie powinna krzyczeć ani też uciekać." Podobnież opiewają i dalsze przepisy, aż wreszcie kończą się przykazaniem, ażeby po śmierci męża dała się żona spalić żywcem z nim razem. I zwyczaj ten praktykuje się tam do dziś dnia jeszcze z całą surowością. Dopiero w najnowszych czasach zaczęły tu i owdzie objawiać się pojedyncze usiłowania, by ile możności szerzeniem oświaty w kraju usuwać ten przykry stan rzeczy, a szlachetnej tej pracy przewodniczy z rzadką zaprawdę wytrwałością i poświęceniem jeden z najświatlejszych obywateli Bombaju, który już od lat trzydziestu pracuje niezmordowanie nad tem, ażeby biedną niewiastę indyjską wyzwolić z tego stanu upośledzenia i za pomocą wykształcenia jej rozumu i serca na sposób europejski wznieść ją na stanowisko odpowiednie jej godności w społeczeństwie. Mąż ten, imieniem Manokdżi Kursetdżi, należy do religijnej kasty Parsów czyli czcicieli ognia, a wysokie wykształcenie umysłu jak również znaczny majątek stawiają go w rzędzie najpierwszych znakomitości Indji; jest on też członkiem wszelkiego rodzaju towarzystw, mających na celu postęp moralny i naukowy i zwiedzał już dwukrotnie Europę, a z początkiem roku bieżącego bawił nawet dłuższy czas w Paryżu, i bywał zapraszany na bale do Tuilerjów, gdzie oboje cesarstwo przyjmowali go z największą uprzejmością i odszczególnieniem. W roku 1863 założył on w Bombaju pierwszą szkołę dla dziewcząt indyjskich podług systemu angielskiego; ale walka z ciemnotą i zastarzałemi przesądami nie jest łatwą, i dla tego też pomimo najusilniejszych starań jego liczyła ta szkoła w roku 1865 dopiero 20 uczennic w wieku od 6—13 lat, z których trzynaście należało do sekty Parsów a 7 było dziewcząt indyjskich. Powoli jednak odnoszą zacne usiłowania jego coraz pomyślniejszy skutek a to głównie dlatego, iż sam dając przykład z siebie, zarzuca wszelkie przesądy, zwyczaje i tradycje swej kasty, dzieci swoje kształci i wychowuje zupełnie na sposób europejski i otwiera dom swój z największą gościnnością Europejczykom, przyczem córki jego wbrew wszelkim zwyczajom indyjskim przyjmują gości w salonach ojca. Z początku gorszyli się tem w prawdzie niemało jego rodacy, ale z czasem znaleźli się przecież naśladowcy, gdyż potęga cywilizacji ostatecznie zawsze zwycięża. Manokdżi ma dwie córki i dwóch synów. Synowie pobierają nauki w Oxfordzie i Cambridge w dwóch najsławniejszych uniwersytetach Anglji; córki są wiernemi pomocnicami ojca, kierują nauką w szkołach, które same pozakładały, zajmują się dziełami dobroczynności, pielęgnują chorych, pocieszają strapionych i to bez żadnego względu na ich wiarę lub pochodzenie. W najnowszym czasie było też zaślubienie najstarszej córki jego Miss Anny bardzo świetnym protestem przeciw starym zwyczajom indyjskim, gdyż ojciec nie wydał jej za mąż w dziecinnym wieku i podług własnej woli swojej, jak to zwykle tam bywa, lecz dozwolił córce dorosłej już i w każdym względzie znakomicie wykształconej, wybrać sobie męża podług skłonności jej własnego serca, co jako rzecz niesłychana dotąd, obudziła na nowo przeciw niemu złość wszystkich krajowców. A płeć piękna nie będzie pewno nieprzyjaciółką tej nowości, w której dość raz zasmakować tylko; i kto wie, czy właśnie ta okoliczność nie przyczyni się kiedyś najwięcej do wzniesienia pomnika sławnemu reformatorowi.

* Z Damaszku donoszą, że w mieści Salt od lat kilku liczba katolików bardzo urosła, tak iż patrjacha rzymski w Jerozolimie posłał im księdza na dusz pasterza. Konsul francuzki w Damaszku nadto uzyskał od naczelnego gubernatora syryjskiego pozwolenie do wystawienia kościoła, i plebanji katolickiej w Salt. „Monitor" pisząc o tem dodaje, że to raz pierwszy od kilku wieków, w okolicy tej tak bogatej w wspomnienia biblijne, na lewym brzegu Jordanu wznoszą kościół katolicki.

* Terst jest miastem w którem stosunkowo żyje najwięcej ludzi sędziwych. Na 70.000 mieszkańców w roku 1862 wedle statystyki podanej w Adrji było tam przeszło 400 osób mających przeszło lat 82, między niemi 90 pomiędzy rokiem 90 a 100, a 14 mających przeszło po sto lat. W Szwajcarji w roku 1860 na 2,400.000 mieszkańców tylko 3 osoby były starsze nad sto lat.

* Redaktor nieumiejący pisać. Z powodu ucisku, jakiego prasa doznaje we Francji, dzienniki tamtejsze miewają zwykle odpowiedzialnych redaktorów (gérants), którzy nie mają żadnej innej kwalifikacji oprócz gotowości do odsiadywania kar więziennych, jakieby mogły spaść na redakcję. Takim kozłem ofiarnym był przy dzienniku „La Patrie" niejaki p. Garat, imiennik jednego z dyrektorów banku francuzkiego. Nie umiał on nawet tyle, aby się mógł podpisać, mimo to jednak redagował długi czas ten dziennik, jeden z największych we Francji. Nakoniec p. Delamarre właściciel dziennika, począł mieć niejakie skrupały w tej mierze, namówił tedy p. Garat, żeby się nauczył podpisywać swoje nawisko. Dał mu w tym celu banknot na 500 fr., na którym był podpis dyrektora banku i obecał mu, że suma ta będzie jego własnością, jeżeli w przeciągu dni 14 nauczy się kreślić tych pięć znaków kaligraficznych, z których składa się jego nazwisko. W istocie po 14 dniach p. Garat przedstawia mu się i powiada, że już podpisuje się doskonale. Robią próbę — lecz, o zgrozo! oprócz Garata, podpisany był na banknocie jeszcze drugi dyrektor, Soleil, i nieszczęśliwy redaktor zamiast nazwiska swojego imiennika, nauczył się podpisywać to drugie. Przepadło więc 500 fr. a redaktor podpisywał się nadal znakiem krzyża świętego, jak poprzednio

* W Glasgowie inżynier Kaufman zbudował machinę do latania po powietrzu. Zbudował ją na wzór ptaka, z dwoma ogromnemi skrzydłami, opatrzonemi klapami, które przy wznoszeniu skrzydeł opadają, a przy spadaniu zamykają się. Tułów składa się z kotła parowego, nieco zakończonego z przodu i z tyłu, mającego w środku wygięcie do mechaniki. Kocioł spoczywa na dwóch kołach, tak że apparat może rozbiegać się po ziemi, zanim puści się w sfery powietrzne. Na morzu może apparat poruszać się za pomocą wioseł. Model zbudowany na dwoje ludzi waży 80 funtów i ma siłę trzech koni. Dla sterowania jest rodzaj ogona ptasiego. Później ma się zbudować apparat na 40 osób, którego skrzydła będą miały 35 stóp długości.

* W Dreznie p. Maurycy Karasowski, z Warszawy wiolonczelista, z członka orkiestry królewskiej został mianowany kamermuzykiem.

* Wiadomo, że przez wnętrze góry Mont-Cenis kopią od kilku lat olbrzymi tunel dla przeprowadzenia przezeń kolei żelaznej, która ma połączyć Włochy z Francją. Praca ta będzie ukończoną za 3 lub 4 lata. Tymczasem jakieś Towarzystwo francuzkie urządziło prowizoryczną kolej przez szczyt góry, liczącej 11.7000 stóp wysokości. Kolej ta będzie w maju otwartą dla wszystkich podróżnych.

* Liczące 5000 ludności fabryczne miasto Essen w Westfalji, zagrożone jest zapadnięciem się. W wielu miejscach ziemia się zaklęsa, szczególniej na jednej z nowszych i zarazem najpiękniejszych ulic. Trzy domy już rozebrano, czwarty zaczęto rozbierać, a 27 jest zagrożonych. Dotąd niewiadomo, czy ta klęska jest skutkiem podchodzących pod miasto kopalni węgla, czy też wód, które pod powierzchnią miasta były zawsze, a teraz zniknęły.

* Ludność Londynu wedle obliczeń królewskiego statystycznego biura, wzrosła w 1867 roku do 3,082.372 mieszkańców, z których umarło 70.588, urodziło się 112.264 czyli że zejść było 22.9, a narodzin 35.5 na tysiąc głów ludności. Śmiertelność więc była w roku zeszłym stosunkowo mniejsza niż w czasie ostatnich lat 5. Powierzchnia zamieszkana przez tę masę ludności wynosi 122 angielskich mil kwadratowych. Na tej przestrzeni znajduje się 46 domów dla ubogich, 12 więzień, 4 domy dla inwalidów, 31 cywilnych i 8 wojskowych szpitali, oraz 19 domów warjatów. Pomiędzy chorobami, jakie najwięcej ofiar zabrały, na pierwszem miejscu stoją przypadłości zapalne dróg oddechowych (11.282 wypadków) a zaraz po nich suchoty (8817 wypadków). Zasługuje na uwagę, iż pomimo 80 milionów litrów gorzałki, wypitej w zeszłym roku w Londynie, wypadków śmierci z delirium tremens było zaledwie 335.

* W Surderlandzie, jednem z miast angielskich, pewien dowcipniś pozwolił sobie szczególnego rodzaju *prima Aprilis*. Porozlepiane na rogach wszystkich ulic plakaty ogromnej wielkości oznajmiły, że „profesor de Greaves z Havru“ za pomocą pary „kamptulskich“ butów, na które otrzymał patent, spacerować będzie po powierzchni morza. Tysiące więc ciekawych zgromadziło się dnia 1. kwietnia nad jezioro. Napróżno czekano przez kilka godzin pojawienia się owego mistrza, gdy w tem jeden z obecnych przypomniał tłumowi, że to — *prima Aprilis!*...

* W opisie jednego z podróżnych morskich znajdujemy następujący przyczynek do studjum charakteru kobiecego: „Burza szalała; obawa, strach i rozpacz odbijała się na twarzy każdego, w końcu kapitan okrętu oznajmił, iż o ratunku już myśleć nie można. Kobiety znajdujące się na okręcie zdradzały siłę umysłu, która mężczyzn zawstydzała. W cichej rezygnacji siedziały i z miejsca się nie ruszyły, jedna szepcąc pacierze, druga z biblią w ręku, trzecia tuląc dziecię swe do łona. Lecz jeszcze okręt nie miał żadnej luki; jakby łódź bez sternika, bez masztu kołysał się po falach morskich. Nagle utknął na przylądku Halteras i za pomocą spuszczonych czółen, linami i innemi narzędziami wzmocniony, szczęśliwie do przystani się dostał. Tu kobiety jakby z letargu się przebudziły, wielkość ich duszy, heroizm ich znikły odrazu, głośne skargi i narzekania słyszeć się dały! I dlaczego? Wszystkie kufry wodą przesiąkły, a najpiękniejsze suknie zepsute: rękawiczki, jedwabne szale, graciki — wszystko zniszczone! Więc nieszczęście ogromne! Przy wyjmowaniu drobnych rzeczy wzdychano, przy większych wydawano jęki, przy najpiękniejszych gorzkie łzy przelewano! Czemże bowiem jest niebezpieczeństwo życia w porównaniu z zniszczoną toaletą?

* Tej zimy Towarzystwo zawiązane we Francji dla popierania ukształcenia niewiast, otwarło w sławnej Sorbonie publiczne kursa nauk dla płci pięknej. Będą to nie prelekcje uniwersyteckie, nie zgromadzenia wieczorne Sorbony, ani lekcje w *Collège de France*, ale raczej wykład mniej więcej taki dla kobiet, jakiego się trzymają w liceach francuzkich dla mężczyzn. Popisywanie się napuszonem krasomówstwem stanowczo jest wygnane z katedry; praktyczność i użyteczność stanowi o wyborze udzielać się mających nauk; w wykładzie przedmiotów zachowa się ścisły związek i stopniowanie; uczennicom dawane będą zadania do wypracowań, które nauczyciele mają przeglądać i poprawiać. Wstęp na wykłady nie ogranicza się ani wiekiem, ani położeniem społecznem słuchaczek. Pożytek z tych nauk odnosić będą mogły zarówno niewiasty niezależne, szukające w wykształceniu jedynie uprawy umysłu, jak i sposobiące się na nauczycielki, a pragnące coś więcej wiedzieć, niżeli się nauczyły dla otrzymania dyplomu, a nakoniec i takie niewiasty, których potrzeby życia zniewalają, jak to się dzieje we wszystkich wielkich miastach handlowych, do brania bliższego udziału w przedsięwzięciach swych mężów i pomagania im w kierowaniu interesami. „Tu i owdzie, powiada „Journ. des Débats,“ dziwiono się i gorszono rolą wyznaczoną w tych wykładach naukom, co właśnie stanowi największą nowość przedsięwzięcia. Towarzystwo było zdania, że dotychczas w wychowaniu kobiet za dużo się zwracano do ich uczuciowości i fantazji; zamierzyło tedy dać większy udział rozumowi, nie wychodząc zresztą w wykładzie po za granice rzeczy dostępnych a interesujących. Wszystko na tej drodze jest nowe, wszystko prawie stworzyć potrzeba; lecz godzi się polegać na nauce i doświadczeniu mężów, którzy ten obowiązek na się przyjęli, — ludzi takich jak członkowie Instytutu Milne-Edwards i Duchartre, jak profesorowie Sorbony i Szkoły Politechnicznej Jamin, Gebert, Cahours i t. d.“ „Journal des Débats“ kończy oświadczeniem, że zasady nowej instytucji uważa za nader rozumne, i wynurza nadzieję, że za takie od razu będą uznane przez publiczność. Prawdopodobnie jednak potrochu się myli. Zastarzałe nałogi nie dają się wykorzenić jednem cięciem siekiery, a Poloniusze filozoficzni, nie w samej tylko Francji, zamiast rozjaśniać głowy innych, przewrotnie nazwą ten kierunek „materjalistycznym,“ sądząc, że jednem słówkiem na wieczne potępienie skazali nienawistną zasadę, co im wszakże nie przeszkodzi w parę miesięcy uznać ją i ogłosić za rodzoniutkie dziecię swego łona. To jednak ważności rzeczy nie uszczupla i nauce z niej dla nas nie zawadza.

* Niedawno temu toczył się w Wiedniu bardzo ciekawy proces. Przed kratkami sądowemi stanęło dwóch sąsiadów, oberzysta Leopold K. jako oskarzyciel i odzwierny Wenzel L. jako obżałowany. Pierwszy wytoczył skargę przeciwko drugiemu o zapłatę na kredkę wypitych 5306 kieliszków piołunówki, które Wenzel L. wychylił w przeciągu półtora roku. Oskarzony nie zapierał się wcale; piołunówka była nie zła, oberzysta kredytował, cóż dziwnego, że Wenzel L. pił. Nie mógł tylko zgodzić się na to, ażeby miał wypić olbrzymią liczbę 5306 kieliszków, ile że oprócz kosztów sądowych należało za piołunówkę zapłacić 106 złr. i 12 ct. Zażądał tedy aby oberzysta powyższą sumę kieliszków stwierdził przysięgą, czego tenże oczewiście uczynić nie chciał, boć także łatwo mógł się pomylić przy zapisywaniu wypitych kieliszków. Ostatecznie oskarzony zgodził się na to, że wypił 5000 kieliszków i obowiązał się spłacić 100 złr. ratami po 2 złr. tygodniowo, i nadal zapijać piołunówkę u swego sąsiada za monetę brzęczącą, by nie popaść w nowe z nim kollizje.

Korespondencja Redakcji.

J. W. hr. T. R. w Wieliczce. Posłaliśmy ponownie. Opóźnienie nie pochodzi z naszej winy.

...alan w miejscu. Prosimy o rozmowę.

Pan A. D... w Paryżu. Prosimy o przyobiecane rękopisma pana W. i inne.

Księgarnia Luksemburska w Paryżu. „Nowiny“ posyłamy. Pieniądze należy przysłać wprost pod adresem wydawcy. Prosimy o złożenie rachunku z rozprzedaży „Sioła.“

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję Kornel Piller.

Druk Kornela Pillera.